



MYŚLIWIEC

KRAKOWSKI

KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI



JESIEŃ 2026 (49)
KRAKÓW



Sezon ogórkowy w łowiectwie?

Szanowne Koleżanki, Szanowni Koledzy!

„Sezon ogórkowy” – tym określeniem zwykło się nazywać okres wakacyjny, kiedy życie publiczne i polityczne wyraźnie zwalnia, politycy udają się na urlopy, a dziennikarze mają mniej ważnych wydarzeń do opisywania. Wtedy na pierwsze strony gazet trafiają ciekawostki, sensacje, wydarzenia lokalne i wszystko to, co w normalnym okresie z trudem przebiłoby się do medialnej czołówki.

Dotychczas można było powiedzieć, że także w łowiectwie lato jest swego rodzaju sezonem ogórkowym. Polowania oczywiście trwają, rolnicy zgłaszają szkody, myśliwi wykonują swoje codzienne obowiązki, ale w przestrzeni publicznej niewiele się dzieje. Tegoroczne lato było jednak inne. Tym razem to właśnie myśliwi znaleźli się w centrum uwagi.

Na pierwszy plan wysunęła się kampania „Uwaga! Polowanie. Zmieńmy prawo łowieckie. Na dobre”. Jej organizatorzy zebrali ponad 204 tysiące podpisów, a więc ponad dwukrotnie więcej niż wymagane 100 tysięcy. Obywatelski projekt zmian w Prawie łowieckim trafił tym samym do dalszego procedowania w Sejmie. Można oczywiście dyskutować o poszczególnych propozycjach zawartych w projekcie. I zapewne będziemy jeszcze mieli wiele okazji, aby to robić. Warto jednak zwrócić uwagę na coś innego. Czy myśliwi, zupełnie nieświadomie, nie pomogli tej kampanii? Każdy, kto udostępniał związane z nią posty, komentował je albo wdawał się pod nimi w dyskusję – nawet wtedy, gdy przedstawiał bardzo merytoryczne argumenty – przyczyniał się jednocześnie do zwiększenia ich zasięgu. Media społecznościowe rządzą się swoimi prawami. Algorytm nie rozpoznaje przecież, czy komentarz jest „za”, czy „przeciw”. Widzi aktywność. Im więcej komentarzy, reakcji i udostępnień, tym większa szansa, że materiał zobaczą kolejne osoby. A właśnie o dotarcie do takich osób chodzi najbardziej. Nie do zagorzałych przeciwników łowiectwa. Nie do najbardziej aktywnych myśliwych. Chodzi o tych, którzy jeszcze nie mają wyrobionego zdania. To właśnie o nich toczy się prawdziwa walka o społeczną akceptację łowiectwa. I co zobaczyli? Myśliwego przedstawianego jako zagrożenie dla ludzi, źródło cierpienia zwierząt i przeciwnika ochrony przyrody. A co zobaczyli w odpowiedzi? Niestety, czasami również bardzo emocjonalne reakcje samych myśliwych. Obelgi, wzajemne oskarżenia, agresywne komentarze i niepotrzebne awantury. I tutaj pojawia się problem. Bo emocjonalna odpowiedź może być świetnym argumentem dla osoby, która dopiero wyrabia sobie zdanie. A co my robiliśmy? Właściwie niewiele. Można powiedzieć: prawdziwy sezon ogórkowy.

Organizacje krytyczne wobec obecnego modelu łowiectwa przedstawiły konkretne propozycje zmian. Dyskusja dotyczy m.in. odległości wykonywania polowania od zabudowań, polowań zbiorowych, dokarmiania zwierzyny, komercyjnego organizowania polowań czy dostępu do informacji dotyczących polowań. A jaka była odpowiedź naszego środowiska?

„Chrońmy swój PESEL” i jedna konferencja? To trochę za mało, a przecież pomysłów na aktywną politykę informacyjną i edukacyjną można znaleźć bez liku. Dlaczego na lotniskach nie pokazujemy roli sokolnictwa w ograniczaniu zagrożeń powodowanych przez ptaki? Dlaczego nie ma szerokiej kampanii dotyczącej kolizji drogowych z udziałem dzikich zwierząt? Dlaczego nie prowadzimy ogólnopolskiej kampanii promującej dziczyznę? Dlaczego nie pokazujemy, że łowiectwo jest jednym z elementów szerszego systemu gospodarowania zasobami przyrodniczymi? Dlaczego nie próbujemy wprowadzić do szkół rzetelnej edukacji dotyczącej zrównoważonego użytkowania zasobów przyrodniczych? Dlaczego pozwalamy, aby o łowiectwie mówiło się przede wszystkim wtedy, kiedy pojawia się konflikt? Przecież mamy o czym mówić. Mamy naukowców, leśników, biologów, rolników, weterynarzy, kynologów, sokolników i przede wszystkim tysiące ludzi, którzy na co dzień zajmują się gospodarką łowiecką. Dlaczego tak rzadko słychać ich głos? I jeszcze jedno pytanie: Gdzie jest kompleksowy projekt nowelizacji Prawa łowieckiego przygotowany przez Naczelną Radę Łowiecką? Nie chodzi o kolejną odpowiedź na projekt przygotowany przez naszych przeciwników. Potrzebujemy własnej wizji. Projektu, który odpowie na wyzwania XXI wieku, ale jednocześnie uwzględni interesy myśliwych, rolnictwa, leśnictwa, ochrony przyrody i bezpieczeństwa publicznego. Projektu, który pokaże społeczeństwu, jakiego łowiectwa chcemy za 10, 20 czy 30 lat. Nie możemy przecież bez końca czekać na propozycje innych i dopiero wtedy zastanawiać się, jak na nie odpowiedzieć. Bo w ten sposób zawsze będziemy o krok za nimi. Czyżbyśmy więc oddali ten mecz walkowerem? Trudno przecież uznać za sukces sytuację, w której jedna strona przedstawia kolejne propozycje, organizuje kampanie, zbiera podpisy i narzuca temat debaty publicznej, a druga przede wszystkim reaguje. I nie chodzi tutaj o to, aby z przeciwnikami łowiectwa prowadzić nieustanną wojnę. Wręcz przeciwnie. Musimy zacząć prowadzić własną politykę informacyjną. Spokojną. Merytoryczną. Nowoczesną. Skierowaną nie tylko do myśliwych, ale przede wszystkim do tych, którzy o łowiectwie wiedzą niewiele albo swoją wiedzę czerpią wyłącznie z mediów społecznościowych. Bo jeśli my nie będziemy mówić o łowiectwie, to ktoś inny zrobi to za nas. A wtedy nie powinniśmy być zdziwieni, że społeczeństwo poznaje przede wszystkim cudzą wersję naszej historii. Może więc tegoroczny „sezon ogórkowy” powinien być dla nas ostatnim?

Bo w łowiectwie naprawdę nie brakuje tematów. Brakuje tylko tych, którzy chcieliby o nich głośno i mądrze mówić, a nawet jak tacy są to nie chcemy ich słuchać....

Wasz Redaktor Naczelny



dr hab. inż. Marek Wajdzik, prof. URK
Leśnik, pracownik naukowy
Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie,
wykładowca gospodarki łowieckiej.

Dziki Kraków

... czyli o życiu zwierząt w miejskiej dżungli

Marek Wajdzik

Urbanizacja stanowi jeden z najważniejszych procesów przekształcających środowisko przyrodnicze w skali globalnej. Jej intensyfikacja, obserwowana szczególnie od drugiej połowy XX wieku, prowadzi do dynamicznych zmian w strukturze przestrzennej krajobrazu oraz w funkcjonowaniu ekosystemów. W ujęciu klasycznym urbanizacja definiowana jest jako proces obejmujący wzrost liczby miast, ich ekspansję przestrzenną oraz zwiększanie udziału ludności miejskiej. Współcześnie podkreśla się jednak jej wielowymiarowy charakter, obejmujący także przemiany społeczne, ekonomiczne i kulturowe.

Jednym z kluczowych skutków urbanizacji jest przekształcanie i fragmentacja siedlisk przyrodniczych, prowadzące do zaburzeń w funkcjonowaniu populacji organizmów żywych. Rozwój infrastruktury, rozproszenie zabudowy oraz ekspansja przedmieść powodują przerwanie ciągłości korytarzy ekologicznych

oraz ograniczenie dostępności zasobów środowiskowych. W konsekwencji wiele gatunków opuszcza obszary zurbanizowane, ale są też takie, które miasta traktują jak swój „nowy dom”.

Proces przystosowania dzikich zwierząt do życia w środowisku miejskim określany jest mianem synurbizacji. Obejmuje on zarówno zmiany w zachowaniu, jak i w ekologii gatunków, umożliwiające funkcjonowanie w warunkach silnej antropopresji. Zjawisko to ma charakter globalny i dotyczy rosnącej liczby gatunków, w tym zarówno ptaków, jak i ssaków.

W ostatnich dekadach obserwuje się wyraźny wzrost liczebności dzikich zwierząt w miastach, co prowadzi do intensyfikacji interakcji między człowiekiem a fauną. Interakcje te mają charakter ambiwalentny – z jednej strony zwiększają możliwości kontaktu człowieka z przyrodą, z drugiej zaś generują konflikty oraz zagrożenia o charakterze ekonomicznym,

zdrowotnym i społecznym. Celem niniejszego opracowania jest analiza wybranych aspektów funkcjonowania populacji dzikich zwierząt w środowisku miejskim na przykładzie aglomeracji krakowskiej.

Gospodarowanie populacjami zwierząt łownych w środowisku miejskim

Zgodnie z obowiązującymi regulacjami prawnymi, obszary znajdujące się w granicach administracyjnych miast zasadniczo wyłączone są z obwodów łowieckich, choć istnieje możliwość ich częściowego włączenia na mocy decyzji właściwych organów samorządowych. W praktyce oznacza to, że gospodarka łowiecka w miastach prowadzona jest w ograniczonym zakresie, najczęściej na terenach peryferyjnych.

Na obszarze aglomeracji krakowskiej obserwuje się istotne zmiany w strukturze populacji zwierząt łownych oraz w sposobie ich użytkowania. W drugiej połowie XX wieku domino wało pozyskiwanie zwierzyny drobnej, natomiast współcześnie głównym przedmiotem gospodarki łowieckiej są gatunki zwierzyny grubej,

w szczególności dzik oraz sarna. Zmiana ta jest bezpośrednio związana ze wzrostem liczebności tych gatunków w środowisku miejskim.

Szczególnie dynamiczny wzrost dotyczy populacji dzika, który wykazuje wysoką plastyczność ekologiczną i zdolność do wykorzystywania zasobów środowiska zurbanizowanego. Pomimo preferencji siedliskowych związanych z obszarami leśnymi, gatunek ten skutecznie zasiedla tereny miejskie, wykorzystując m.in. obszary zakrzaczone, nieużytki oraz kompleksy zieleni miejskiej. Istotną rolę w kształtowaniu struktury przestrzennej populacji mogą odgrywać bariery antropogeniczne, takie jak infrastruktura drogowa, ograniczające migracje i sprzyjające lokalnej koncentracji osobników.

Regulacja liczebności populacji dzików w Krakowie opierała się przede wszystkim na planowym odstrzale, realizowanym głównie na obrzeżach miasta. Metoda ta, w porównaniu z odłowem i translokacją zwierząt (obecnie ze względu na przepisy sanitarne przemieszczanie jest niemożliwe), charakteryzuje się niższymi kosztami, jednak





jej skuteczność ze względu na ograniczenia przestrzenne, w warunkach dynamicznego wzrostu populacji pozostaje ograniczona.

Kolizje drogowe z udziałem dzikich zwierząt

Jednym z najpoważniejszych problemów związanych z obecnością dzikich zwierząt w miastach są zdarzenia drogowe z ich udziałem. Stanowią one istotne zagrożenie dla bezpieczeństwa ruchu drogowego oraz przyczyniają się do znaczącej śmiertelności zwierząt.

W Polsce obserwuje się systematyczny wzrost liczby kolizji z udziałem zwierzyny, przy czym rzeczywista skala zjawiska jest trudna do oszacowania ze względu na niepełną rejestrację zdarzeń. Najczęściej w kolizjach uczestniczą gatunki kopytne, przede wszystkim sarna i dzik, co wynika z ich liczebności oraz aktywności przestrzennej.

Na terenie Krakowa liczba zwierząt ginących w wyniku kolizji drogowych uległa znacznemu zwiększeniu w ostatnich latach. Zdarzenia te generują wysokie koszty ekonomiczne związane

z uszkodzeniami pojazdów oraz infrastruktury, a także stanowią zagrożenie dla zdrowia i życia uczestników ruchu. W przypadku kolizji z dużymi ssakami ryzyko poważnych obrażeń lub śmierci człowieka jest szczególnie wysokie.

Szkody powodowane przez dzikie zwierzęta

Obecność dzikich zwierząt w środowisku miejskim wiąże się z powstawaniem licznych szkód o charakterze materialnym. W obowiązującym systemie prawnym odszkodowania obejmują jedynie wybrane kategorie strat, głównie te związane z działalnością rolniczą oraz szkody powodowane przez określone gatunki chronione, takie jak bóbr.

Znaczna część szkód powstających w miastach, w tym uszkodzenia infrastruktury, terenów zielonych czy obiektów budowlanych, nie podlega rekompensacie. Szczególnym problemem są szkody powodowane przez dziki, które poprzez rycie gleby niszczą zieleń miejską oraz murawy obiektów sportowych. Istotne znaczenie mają również szkody powodowane przez ptaki, obejmujące



mujące zanieczyszczenie powierzchni miejskich oraz uszkodzenia elementów architektury.

Zagrożenia epidemiologiczne

Dzikie zwierzęta bytujące w środowisku miejskim mogą pełnić rolę rezerwuarów patogenów stanowiących zagrożenie dla zdrowia publicznego. Szczególne znaczenie mają lisy, które mogą być nosicielami pasożytów wywołujących alweokozę (bąblowica wielojamowa) – chorobę o ciężkim przebiegu klinicznym.

Ponadto zwierzęta mogą przenosić inne choroby odzwierzęce, w tym wściekliznę oraz choroby pasożytnicze, takie jak świerz. Również ptaki miejskie mogą stanowić źródło pato-

genów wywołujących choroby zakaźne u ludzi. Wzrost liczebności zwierząt w miastach oraz zwiększona częstotliwość kontaktów z człowiekiem mogą sprzyjać transmisji tych chorób.

Znaczenie ekologiczne i społeczne obecności zwierząt w miastach

Pomimo licznych zagrożeń, obecność dzikich zwierząt w miastach ma również istotne znaczenie pozytywne. Stanowi ona element zwiększający różnorodność biologiczną obszarów zurbanizowanych oraz umożliwia bezpośredni kontakt mieszkańców z przyrodą.

W ostatnich dekadach obserwuje się ekspansję wielu gatunków na obszary miejskie, w tym



dzikaknieja.pl 047F 08°C 02/06/2023 22:10:55



dzikaknieja.pl 055F 12°C 06/06/2023 06:45:50



4°C 39°F 13/04/2026 04:29:32 0062

również takich, które wcześniej uznawane były za rzadkie lub silnie związane z naturalnymi siedliskami. Przykładem może być bóbr europejski, który skutecznie kolonizuje środowiska zurbanizowane, wykorzystując dostępność zasobów pokarmowych oraz odpowiednich warunków siedliskowych.

Znaczenie badań w ekologii miejskiej

Dynamiczny rozwój obszarów zurbanizowanych przyczynił się do wyodrębnienia ekologii miejskiej jako interdyscyplinarnej dziedziny nauki. Jej celem jest analiza funkcjonowania organizmów w środowisku przekształconym przez człowieka oraz identyfikacja mechanizmów adaptacyjnych umożliwiających ich przetrwanie.

Badania prowadzone w środowisku miejskim dostarczają istotnych informacji na temat preferencji siedliskowych, zachowań przestrzennych oraz reakcji organizmów na czynniki antropogeniczne, takie jak hałas, zanieczyszczenie światłem czy fragmentacja siedlisk. Wyniki tych badań mają kluczowe znaczenie dla opracowywania strategii zarządzania populacjami zwierząt oraz ochrony bioróżnorodności w miastach.

Podsumowanie

Wszystko wskazuje na to, że procesu zasiedlania miast przez dzikie zwierzęta nie da się już zatrzymać. Wraz z rozwojem aglomeracji coraz więcej gatunków nauczyło się wykorzystywać miejską przestrzeń jako miejsce życia, zdobywania pokarmu i wychowywania potomstwa. Dla wielu z nich miasto przestało być jedynie przeszkodą – stało się nowym ekosystemem.

Nie oznacza to jednak, że człowiek powinien biernie akceptować wszystkie konsekwencje tego zjawiska. Współczesne zarządzanie populacjami dzikich zwierząt nie może opierać się ani na bezwarunkowej ochronie, ani na dążeniu do ich całkowitej eliminacji z terenów zurbanizowanych. Potrzebne są rozwiązania, które z jednej strony pozwolą zachować cenną bioróżnorodność miast, z drugiej zaś ograniczą liczbę konfliktów oraz poprawią bezpieczeństwo zarówno ludzi, jak i zwierząt.

Marek Wajdzik
fot. *archiwum autora*

Mandarynka

Ryszard Adamus



Słyszałem o prowadzonych od kilku lat o obserwacjach samca mandarynki we Wrocławiu. Spotykano go wśród zimujących stad ptaków wodnych na Odrze. Mnie udało się takiego kaczora dostrzec zimą 2025 roku, a już wiosną zadomowił się na małym stawie w Kozanowie. Wyraźnie mniejszy od krzyżówek, pływał między nimi jak mała motorówka. Nie czuł respek-

tu przed większymi krewnymi, a gdy wśród kilku kaczorów pojawiła się jedna kaczka to nawet je ustawiał, choć samą kaczka nie był zainteresowany. Tak jakby sam nastrój godowy mu się udzielił. Poza tym żył z nimi zgodnie. Kilka razy pojawił się też drugi kaczor mandarynki i wtedy zauważyłem różnice w upierzeniu obu. Najbardziej widoczna to biały brzuch u tego dolatują-

cego. Autochton miał z kolei na brzuchu jakby szaro - szarą szachownicę, a były jeszcze inne drobniejsze różnice w upierzeniu. Właściwie dla gatunku ubarwienie miał ten zalatujący, coś zatem było nie tak z miejscowym? Hodowcom udało się uzyskać różne odmiany barwne i może oglądałem wynik takich eksperymentów. Jest i inna koncepcja. Badacze populacji warszaw-

skiej zanotowali zmiany ubarwienia niektórych starszych samic w kierunku upierzenia samczego. W kolejnych latach ta zmiana się pogłębiała. Czy mój kaczor byłby zatem samicą? Gdy odwiedziłem Kozanowski staw w czerwcu łatwo widocznego kaczora nie dostrzegłem, ale spacer połączony z dokładną lustracją pozwolił wykryć go. Był w trakcie zmiany upierzenia na spoczynkowe. Jakże stał się niepodobny to tego małego kolorowego okręcika z żaglami.

Mandarynka jest dobrym przykładem zmian zachodzących wokół nas w przyrodzie. Ten gatunek kaczki pochodzi z Azji Wschodniej, a jej nazwa jest związana z urzędnikiem w dawnych Chinach - mandarynem. Niewątpliwa uroda sprawiła, że mandarynka stała się najpopularniejszym gatunkiem kaczki ozdobnej na świecie. Wynikiem tego były ucieczki lub wypuszczenia na wolność. Pierwsze wzmianki z Polski o osobnikach na wolności pochodzą z 1963 lub 1964 z Wałcza. Później zdarzały się pojedyncze i niezbyt częste stwierdzenia z wyraźną tendencją wzrostową. W 1999 roku celowo wypuszczono mandarynki w Parku Łazienkowskim i może to był jakiś przełom, bo już 2 lata później zanotowano pierwszy udany lęg. Przykładowo w 2017 roku w województwie mazowieckim zanotowano 38-43 samice wodzące w sumie 253 pisklęta.

Dziś mandarynka wydaje się związana z cywilizacją i spotyka się ją w parkach, a jeśli już na rzekach to raczej w obrębie miast. Może nawet nie chodzi tylko o obecność człowieka, ale mandarynki zakładają gniazda w dziuplach starych drzew, a w przeżyciu zimy pomagają im owoce dębów i buków, a tych w parkach przecież nie brakuje. Konsekwentnie, choć nie na miarę tego, co dzieje się w stolicy, gniazdują m.in. w Brzegu i Pruszkowie na Opolszczyźnie czy w Radzynie Podlaskim. Nieliczne na razie ich lęgi stwierdzono również poza miejskimi obszarami. Te nasze mandarynki zatraciły potrzebę sezonowej migracji właściwej wielu populacjom azjatyckim, jednak są i dowody na ich sporą mobilność. Zaobrazkowane w Warszawie kaczki zaobserwowano m.in. w Finlandii, Norwegii, Szwecji a samiec oznaczony niebieską obrączką E43 poleciał do Szkocji pokonując ponad 1600 km w linii prostej. Dziś warszawska populacja szacowana jest na 250 par. A co będzie dalej? Berlin dysponuje 2-3 krotnie licniejszą populacją, a na Wyspach Brytyjskich jest kilka tysięcy par. Czy w jakiś sposób zagrażają naszej rodzimej faunie? Mogą konkurować o miejsca lęgowe przykładowo z gągolami i trzaczami. Te jednak gnieźdzą się raczej poza miastami, a tam



mandarynki rzadko bywają. W samych miastach możemy się natomiast spodziewać takiego sporu choćby z grzywaczem, krzyżówką i paroma innymi gatunkami. Ważne pytanie, czy poprzez hybrydyzację mandarynki mogą zanieczyścić pulę genową rodzimych gatunków? Tu mamy sprzeczne dane co do takiego ryzyka. Z jednej strony przyrodnicy badający mandarynki w Warszawie zaprzeczają takiej ewentualności, a i nasi hodowcy kaczek nie chwalą się takimi osiągnięciami, a przecież niektórzy mogliby do nich dążyć. Z drugiej strony mamy jednak na świecie udokumentowane przypadki hybryd z karolinką, lodówką, krzyżówką białooką, głowienką preriową, a z naszych rodzimych kaczek z krzyżówką czy krakwą. Na pewno ważne jest czy taka hybryda będzie zdolna do dalszego przekazywania genów, czy jak np. skrzekot zginie bezpotomnie.

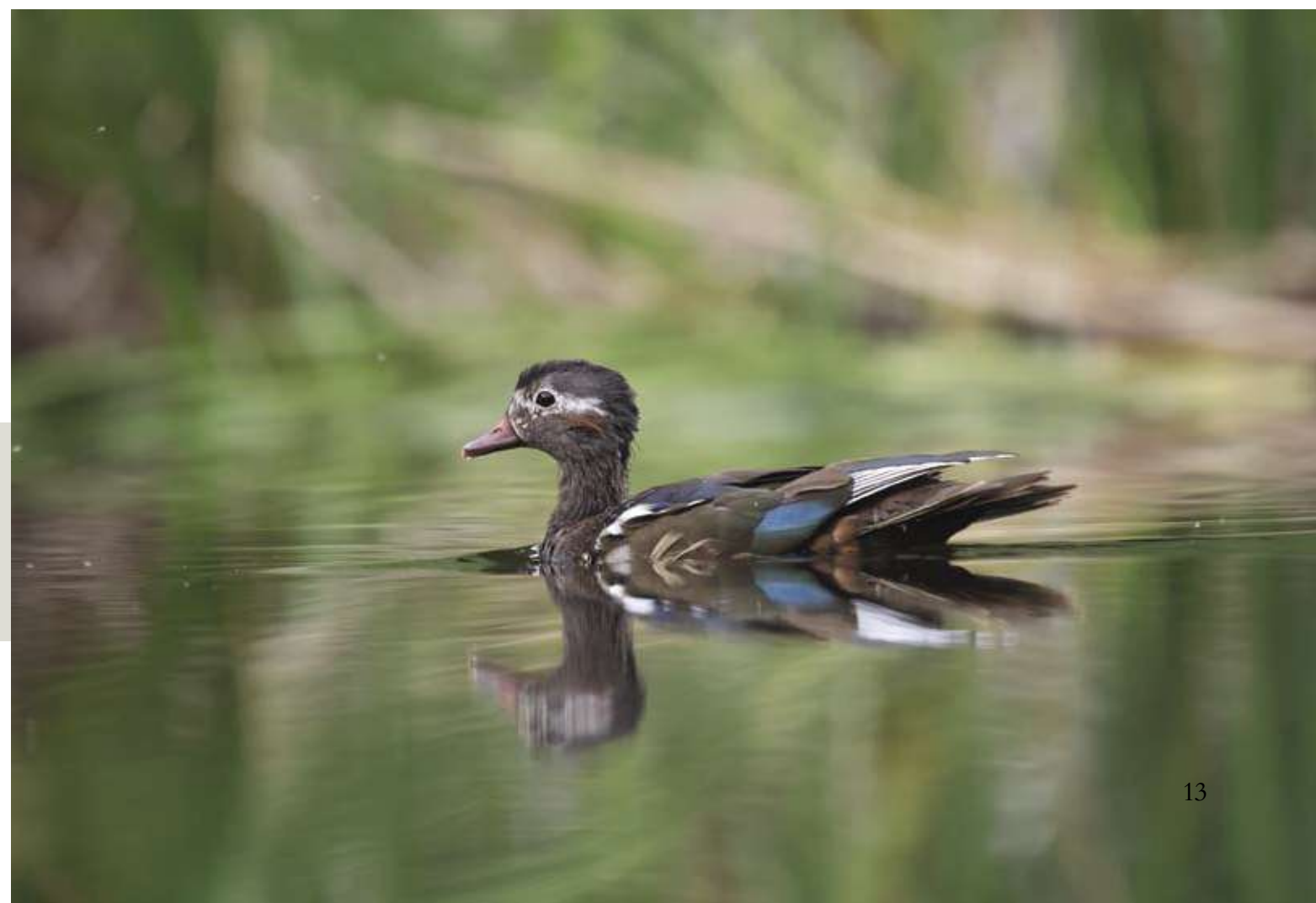
Kilkanaście razy odwiedzałem Kozanowski staw i ludzie nie zdawali sobie sprawy, że koło

nich pływa taka ciekawostka. Mamy podobne zmysły, ale każdy z tego świata trochę inaczej korzysta, co innego widzi i na co inne reaguje. Jeśli między nami występują takie różnice w percepcji świata to coś dopiero między gatunkami. Co się w takich kaczych mózgach dzieje?

fot. autor



Ryszard Adamus
Od dziecka miłośnik przyrody choć z wykształceniem technicznym. Łowiectwo uprawia z aparatem fotograficznym.



Indyki z Kanady eksperyment zapisany w pamiętniku

Michał Kielb



Niektóre historie łowieckie żyją jedynie we wspomnieniach ich uczestników. Inne pozostawiają po sobie dokumenty, które z upływem lat nabierają szczególnej wartości. Do takich należą pamiętniki łowieckie mojego stryja, Szczepana Kielba – wieloletniego prezesa Koła Łowieckiego „Knieja” w Katowicach.

Wśród opisów polowań, prac gospodarczych i codziennych wydarzeń odnalazłem zapiski dotyczące dziś niemal zapomnianego przedsięwzięcia – próby introdukcji dzikiego indyka z Kanady na teren obwodu łowieckiego nr 111. Dziś, dysponując znacznie większą wiedzą o biologii tego gatunku, czyta się je z ogromnym zainteresowaniem.

Początek ambitnego przedsięwzięcia 4 listopada 1978 r.

„Z poręki kol. O. Wiszniowskiego sprowadzono indyki. Do Ziory przekazano 10 indyków kanadyjskich z gospodarstwa hodowlanego Urzędu Wojewódzkiego w Rogoźnej. Dotacja dla naszego Koła – 3.000 zł. Wiosną 1979 roku mamy oddać połowę jaj od tych indyków. Już na

drugi dzień lis zadusił i zabrał jedną sztukę...”

Już pierwszy wpis pokazuje, jak ambitne były plany. Założenie wydawało się proste – odchowac ptaki, doprowadzić do ich rozmnożenia, a część uzyskanego potomstwa przekazać z powrotem do hodowli. Wszystko wyglądało na dobrze przygotowane. Rzeczywistość szybko zwerfikowała te oczekiwania.

14–15 listopada 1978 r.

„Z dostarczonych 10 indyków kanadyjskich jednego zżarł lis, a drugi zdechl dwa dni temu.”

Ten krótki zapis mówi więcej niż obszerne sprawozdanie. Już po kilkunastu dniach stało się jasne, że utrzymanie gatunku pochodzącego z odmiennych warunków środowiskowych będzie znacznie trudniejsze, niż przypuszczano.

Nadzieja, która szybko zgasła 12–13 marca 1979 r.

„Chowa się nadal 5 indyczek i 2 indory kanadyjskie – zaczynają tokować, śpią nadal w ogrodzie.”

Po zimie pojawiła się nadzieja. Ptaki przetrwały najtrudniejszy okres, rozpoczęły toki i wydawało się, że przedsięwzięcie ma szansę zakończyć się sukcesem.

Kilka miesięcy później przyszło jednak kolejne rozczarowanie.

11 listopada 1979 r.

„Włóczęga pies znany w Rudniku udusił dwa z naszych kanadyjskich indyków. Jednego z nich zabrałem.”

Na tym właściwie kończą się zapiski dotyczące eksperymentu.

Kilka krótkich zdań wystarczyło, by opisać jego finał. Lisy, waleśające się psy, stres oraz trudne warunki środowiskowe sprawiły, że ambitna próba zakończyła się niepowodzeniem.

Pytanie, które pozostało

Przez wiele lat zastanawiałem się, czy eksperyment prowadzony przez myśliwych z Koła Łowieckiego „Knieja” miał jakiegokolwiek szanse powodzenia.

Dzisiaj łatwo wskazywać błędy. Trzeba jednak pamiętać, że pod koniec lat siedemdziesiątych wiedza o ekologii i zachowaniu dzikiego indyka była w Polsce bardzo ograniczona. Dostęp do literatury zagranicznej był niewielki, a praktycznych doświadczeń nie posiadał właściwie nikt.

Jak wspominał mój stryj, pierwsze problemy pojawiły się już podczas prób rozmnażania ptaków. Początkowo jaja podłożono indyczce wyśiadującej własny lęg. Samica odrzuciła jednak



obce jaja. Dopiero wykorzystanie dwóch kwok, pod które podłożono po pięć jaj, przyniosło oczekiwany efekt – wykluło się dziesięć piskląt.

Wydawało się, że najtrudniejszy etap został pokonany. Młode przekazano następnie pod opiekę indyczki wychowującej własny leg. Początkowo wszystko przebiegało pomyślnie. Po kilku dniach pisklęta zaczęły jednak podlatywać i coraz łatwiej opuszczały ogrodzoną zagrodę. Poza nią czekały już lisy oraz wałęsające się psy. Liczba ptaków szybko malała.

Odpowiedź znalazłem w Kanadzie

Przez długi czas nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego eksperyment zakończył się fiaskiem. Odpowiedzi postanowiłem poszukać tam, skąd przybyli bohaterowie tej historii – w Kanadzie.

Dopiero obserwując dzikie indyki w ich naturalnym środowisku zrozumiałem, jak wiele rzeczy umknęło uczestnikom tamtego przedsięwzięcia.

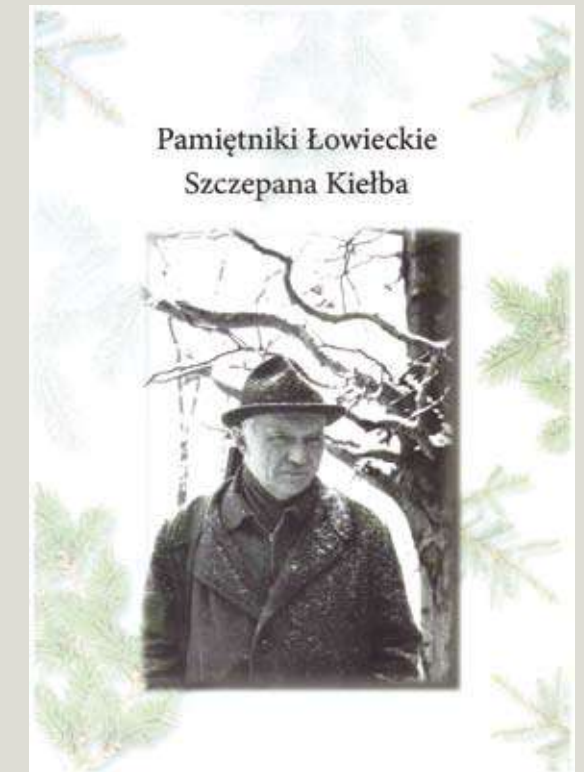
Samica prowadząca młode nie tylko je ogrzewa i chroni przed drapieżnikami. Przede wszystkim uczy je życia. Prowadzi pisklęta tam, gdzie mogą znaleźć najwięcej owadów i innych bezkręgowców, pokazuje miejsca bezpieczne i te, których należy unikać, uczy rozpoznawania zagrożeń oraz właściwego reagowania na sygnały alarmowe. Jest to prawdziwa szkoła przetrwania, której człowiek nie jest w stanie zastąpić.

Podczas jednej z obserwacji zwróciłem uwagę na pozornie nieistotną scenę. Na leśnej polanie szopy prace rozgrzebały darń w poszukiwaniu pokarmu. Kilka godzin później w to samo miejsce przyprowadziła swoje pisklęta indyczka. Młode bez trudu znajdowały odsłonięte larwy i owady. Nie była to żadna współpraca między gatunkami, lecz doskonałe wykorzystanie sytuacji stworzonej przez innego mieszkańca lasu.

Każdego dnia pisklęta stawały się coraz bardziej samodzielne. Najpierw podfruwały na niewielkie odległości, później uczyły się nocować na drzewach, ale przez cały czas pozostawały pod czujną opieką matki. Nawet podczas żerowania indyczka często obserwowała otoczenie z gałęzi pobliskiego drzewa. Jeden sygnał ostrzegawczy wystarczał, aby wszystkie młode natychmiast zamarły w bezruchu lub błyskawicznie ukryły się w roślinności. Takich zachowań nie da się nauczyć w zagrodzie.

Lekcja sprzed niemal pół wieku

Dziś jestem przekonany, że katowicki eksperyment był skazany na niepowodzenie. Nie dlatego, że zabrakło zaangażowania, staranności czy dobrej woli. Zabrakło czegoś znacznie trud-



niejszego do zdobycia – praktycznej wiedzy o biologii i zachowaniu gatunku.

To właśnie tę wiedzę zdobywa się nie z instrukcji ani urzędowych zaleceń, lecz dzięki wieloletniej obserwacji zwierząt w ich naturalnym środowisku.

Historia opisana w pamiętniku mojego stryja nie jest więc opowieścią o porażce myśliwych. Jest świadectwem czasów, w których wiele działań podejmowano metodą prób i błędów. A jednocześnie przypomina, że przyroda pozostaje najlepszym nauczycielem pokory. Nie uznaje dobrych intencji za argument. Uznaje jedynie prawa biologii.

Być może właśnie dlatego warto wracać do starych pamiętników. Nie po to, by rozliczać dawnych myśliwych z ich decyzji, lecz by zrozumieć, jak rodziła się wiedza, którą dziś często uważamy za oczywistą. Przyroda jest cierpliwym nauczycielem, ale lekcje, których udziela, bywają kosztowne.

fot. archiwum autora



Michał Kielb

Założyciel i pierwszy redaktor Łowca Świętokrzyskiego, pasjonat badań kanadyjskiej fauny. Łowiectwo uprawia ponad 50 lat, w tym ponad 25 w Kanadzie.

Wieści z Kanady...

Przystanek dla indyka

Michał Kiełb



Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak scena z filmu. Pod wiatą autobusową, pośrodku kanadyjskiego odludzia, dumnie przechadzał się potężny indor. Nie spieszył się, nie sprawiał wrażenia zagubionego. Wręcz przeciwnie – zachowywał się tak, jakby to miejsce należało właśnie do niego.

Czy zabłądził? Wątpię. Dzikie indyki należą do najbardziej ostrożnych mieszkańców północnoamerykańskich lasów. Z natury unikają ludzi i doskonale wiedzą, gdzie kończy się ich świat, a zaczyna świat człowieka. Dlatego widok dorodnego samca pod przystankową wiatą może zaskakiwać. Tyle że zwierzęta znacznie lepiej od nas zapamiętują miejsca, w których coś im sprzyja. A przystanek autobusowy bywa właśnie

takim miejscem – daje schronienie przed deszczem, czasem można znaleźć resztki pożywienia, a przy okazji spotkać inne indyki. Skoro raz było tu dobrze, dlaczego nie wrócić?

To właśnie pamięć jest jedną z największych zalet tego gatunku.

Z myśliwskiego punktu widzenia indyk to ptak wyjątkowy. Dorosłe samce osiągają masę nawet 15 kilogramów, a ich mięso od pokoleń uchodzi za jeden z największych przysmaków kuchni myśliwskiej. Nie bez powodu dawni myśliwi nazywali je „mięsem o siedmiu smakach”. Niezależnie od tego, czy określenie to traktować dosłownie, czy jedynie jako element łowieckiej tradycji, świadczy ono o renomie tego gatunku.

Co ciekawe, to nie myśliwi stanowią dziś największe zagrożenie dla populacji indyków w Kanadzie. Polowania są tam ściśle regulowane, a liczba pozyskiwanych ptaków pozostaje pod ścisłą kontrolą. Znacznie groźniejszym przeciwnikiem okazuje się natura.

Na pisklęta polują jastrzębie i orły, młode ptaki padają ofiarą lisów, szopów praczy i innych drapieżników, a dorosłe osobniki muszą mieć się na baczności wobec wilków i kojotów. W świecie przyrody każda chwila nieuwagi może kosztować życie i dlatego indyki rzadko żyją samotnie. Stado to najlepszy system wczesnego ostrzegania. Kilkadziesiąt par oczu do-

strzeże niebezpieczeństwo znacznie szybciej niż jedna. Ich wzrok jest wręcz legendarny, można by rzec „sokoli”. Drapieżnik ma największe szanse tylko wtedy, gdy uda mu się odłączyć od stada pojedynczego, mniej czujnego ptaka. Kiedy zagrożone są młode, do akcji wkracza indyczka. Potrafi z ogromną determinacją odparować ataki lisa czy szopa pracza, niejednokrotnie zmuszając napastnika do odwrotu. Jeszcze bardziej zaskakuje zachowanie piskląt. Zamiast bezradnie uciekać, rozkładają skrzydła, nastroszają pióra i naśladując matkę ruszają w kierunku przeciwnika. Oczywiście nie dlatego, że są silniejsze. Po prostu wiedzą, że zdecydowana





obrona często przynosi lepszy efekt niż paniczna ucieczka.

Patrząc na spokojnego indora pod autobusową wiatą, trudno było uwierzyć, że należy do gatunku, którego życie jest nieustanną walką o przetrwanie. Być może właśnie dlatego wyglądał tak dostojnie. Wiedział, że tym razem wygrał nie siłą, lecz doświadczeniem i pamięcią.

Bo dzika przyroda rzadko działa przypadkowo. Znacznie częściej kieruje się logiką, której człowiek dopiero uczy się dostrzegać.

Jak to faktycznie jest z tymi dzikimi indykami w kraju ich bytowania?

Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że przedstawione poniżej informacje są wynikiem zarówno rozmów z kanadyjskimi myśliwymi i przedstawicielami rdzennych społeczności, jak i moich własnych obserwacji prowadzonych podczas badań terenowych w lasach oraz na terenach otwartych Kanady. Świadomie większą wagę przywiązuję do tego, co udało mi się zobaczyć w naturalnym środowisku tych ptaków.

jąc pojedynki o dominację na tokowisku.

Po zakończeniu toków ptaki stają się niezwykle skryte. Podczas moich obserwacji najczęściej odpoczywały i nocowały na starych drzewach liściastych, zlokalizowanych na obrzeżach lasów. Przez kilka, a niekiedy kilkanaście dni prowadziły bardzo skryty tryb życia. Dopiero później ponownie zaczynały intensywnie żerować. Przemieszczały się w niewielkich grupach, zachowując między sobą pewien dystans, który umożliwiał wzajemną obserwację i szybkie reagowanie na pojawienie się drapieżnika.

Po zapłodnieniu samice zakładają gniazda w płytkich zagłębieniach terenu, najczęściej osłoniętych gałęziami lub gęstą roślinnością. W zniesieniu znajduje się zwykle od 8 do 16 jaj, które wysiadywane są przez około 28 dni. W okresie inkubacji samica wykazuje dużą determinację w obronie gniazda i potrafi skutecznie odstraszać mniejszych napastników. Literatura podaje, że śmiertelność piskląt w pierwszych dniach życia może być bardzo wysoka i niekiedy przekracza połowę wyklutych młodych. Moje obserwacje nie potwierdziły jednak tak dużych strat. W kilku monitorowanych przeze mnie stadach większość piskląt przeżyła pierwszy, najtrudniejszy okres życia. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy wynikało to z lokalnych warunków środowiskowych, niewielkiej presji drapieżników czy po prostu z ograniczonej liczby prowadzonych obserwacji. W literaturze spotyka się również informacje o powtórnych lęgach, liczących zazwyczaj od 6 do 10 jaj. Podczas mojego pobytu w Kanadzie nie zaobserwowałem takiego zjawiska, choć nie wykluczam, że może ono występować w określonych warunkach. Nawet jeśli dochodzi do późniejszych lęgów, młode ptaki mają znacznie mniej czasu na osiągnięcie odpowiedniej kondycji przed nadejściem surowej kanadyjskiej zimy.

Latem indyki są wyjątkowo trudne do zaobserwowania. Większość czasu spędzają w gęstej roślinności oraz na obrzeżach lasów, gdzie wysoka roślinność zapewnia im skuteczną osłonę. W tym okresie spotykałem jedynie niewielkie grupy ptaków, prowadzące bardzo skryty tryb życia. Jesienią sytuacja wyraźnie się zmienia. Wraz z opadaniem liści i zmniejszaniem się osłony roślinnej indyki zaczynają tworzyć większe stada, liczące najczęściej od kilkunastu do około trzydziestu osobników. Taka liczebność umożliwia skuteczniejsze wykrywanie zagrożeń, a jednocześnie ogranicza konkurencję o pokarm.

Najtrudniejszym okresem w życiu dzikich indyków pozostaje zima. Aby zdobyć pożywienie, ptaki muszą schodzić z drzew na pokrytą śnie-

Bezpośrednia obserwacja zachowań zwierząt często pozwala dostrzec niuanse, których nie sposób odnaleźć nawet w najlepszych opracowaniach.

Okres godowy dzikich indyków przypada zazwyczaj od końca kwietnia do końca maja. Najbardziej intensywne toki obserwowałem pomiędzy 24 kwietnia a 10 maja, zwłaszcza podczas ciepłej i słonecznej pogody. W tym czasie samce rywalizują o względy samic, prezentując charakterystyczne zachowania godowe i stacza-



giem ziemię, gdzie wyszukują nasiona i inne dostępne źródła pokarmu. Na białym tle śniegu ich ciemne upierzenie staje się doskonale widoczne, dlatego właśnie zimą tworzą największe stada. Według relacji kanadyjskich Indian są to często grupy rodzinne obejmujące kilka pokoleń.

Podczas moich obserwacji wielokrotnie spotykałem zimowe stada liczące nawet około 70 osobników. Co ciekawe, ani razu nie byłem świadkiem skutecznego ataku drapieżnika na tak liczną grupę. Nie znajdowałem również śladów świeżych ofiar w miejscach, gdzie regularnie obserwowałem indyki. Nie oznacza to oczywiście, że drapieżnictwo nie występuje. Raczej świadczy o tym, że przyroda bardzo skutecznie ukrywa wiele swoich zdarzeń przed obserwatorem.

Gdzie bytują indyki?

Jedną z cech, która szczególnie zwróciła moją uwagę podczas obserwacji dzikich indyków, jest ich duża elastyczność w wyborze miejsc przebywania. Ptaki te nie są silnie przywiązane do jednego miejsca. W zależności od pory roku, pogody, dostępności pokarmu oraz stopnia zagrożenia potrafią zmieniać miejsca żerowania i odpoczynku.

O ich strategii przetrwania decydują przede wszystkim doskonale rozwinięty wzrok i bardzo dobry słuch. To właśnie dzięki tym zmysłom wybierają stanowiska, z których mogą obserwować otoczenie, jednocześnie pozostając jak najmniej widoczne dla potencjalnych drapieżników. Z pozoru wydaje się to trudne do pogodzenia, jednak w naturalnym środowisku indyki

znakomicie wykorzystują ukształtowanie terenu oraz osłonę roślinności.

Najchętniej zajmują miejsca, które zapewniają zarówno dobrą widoczność, jak i łatwy dostęp do naturalnego pokarmu. Ta umiejętność dostosowywania się do zmieniających się warunków jest jedną z przyczyn sukcesu ekologicznego tego gatunku i pozwala mu skutecznie funkcjonować nawet w środowiskach podlegających znacznym zmianom.

Czym się żywią indyki kanadyjskie?

Indyk jest gatunkiem wszystkożernym, a jego dieta zmienia się wraz z porami roku i dostępnością pokarmu. Podstawę pożywienia stanowią nasiona, żołędzie, orzechy, owoce, zielone części roślin oraz liczne gatunki traw i ziół. Chętnie zjada również owady, dżdżownice, ślimaki, pająki, larwy i poczwarki owadów oraz inne bezkręgowce. Sporadycznie jego pokarm uzupełniają niewielkie kręgowce, takie jak płazy czy drobne gady, a nawet drobne gryzonie. Taka różnorodność diety pozwala mu dobrze przystosowywać się do zmieniających się warunków środowiskowych i sezonowej dostępności pokarmu.

Jak poluje się na indyki w Ontario?

Przepisy regulujące polowania na dzikie indyki w prowincji Ontario są bardzo szczegółowe i zajmują kilkadziesiąt stron oficjalnego regulaminu łowieckiego. Poniżej przedstawiam jedynie najważniejsze zasady.

Polowania prowadzone są w trzech sezonach. Najważniejszy z nich przypada na wiosnę – od 25 kwietnia do 31 maja. Sezon jesienny trwa od 9 do 21 października, natomiast myśliwi polujący z łukiem lub kuszą mogą polować przez cały październik.

Wiosną wolno pozyskiwać wyłącznie ptaki posiadające charakterystyczną brodę, czyli przede wszystkim dorosłe samce. Jesienią dopuszczony jest odstrzał zarówno samców, jak i samic.

W sezonie wiosennym myśliwy może wykupić dwa **znaczniki (tzw. tag)**, jednak regulamin pozwala pozyskać tylko jednego indyka dziennie. Jesienią przysługuje jeden znacznik.

Godziny polowań również zależą od pory roku. Wiosną można polować od pół godziny przed wschodem słońca do godziny 19.00, natomiast jesienią – od pół godziny przed wschodem do pół godziny po zachodzie słońca.

Do polowania dopuszczone są strzelby gładkolufowe kalibru od 10 do 20, broń czarnopochowa oraz łuki i kusze. Używa się śrutu

o numeracji od 4 do 7.

Warunkiem uzyskania pozwolenia na polowanie jest posiadanie aktualnej Outdoors Card (legitymacji myśliwskiej), licencji (Small Game Licence) oraz wspomnianego znacznika.

Bardzo popularnym elementem polowania są różnego rodzaju wabiki (calls), naśladujące głosy indyków. Regulamin dopuszcza wyłącznie wabiki obsługiwane ręcznie – zabronione jest stosowanie urządzeń elektronicznych oraz wykorzystywanie żywych ptaków jako wabików. Można natomiast używać sztucznych makiet (decoys), które są powszechnie stosowane przez kanadyjskich myśliwych.

Przepisy zabraniają również polowania w promieniu 400 metrów od miejsca nęcenia, chyba że od usunięcia zanęty minęło co najmniej siedem dni.

Po pozyskaniu ptaka znacznik należy natychmiast umocować do tuszy i pozostawić go aż do chwili przygotowania zwierzyny do spożycia. Każde udane polowanie musi zostać zgłoszone – telefonicznie lub elektronicznie – najpóźniej do godziny 12.00 następnego dnia. W zgłoszeniu podaje się między innymi datę i miejsce polowania, płeć ptaka, jego wiek oraz długość ostrogi.

Kanadyjskie przepisy bardzo mocno akcentują również bezpieczeństwo. Myśliwym odradza się aktywne podchodzenie indyków („stalking”), ponieważ zwiększa ono ryzyko pomyłki i postrzelenia przez innego uczestnika polowania. Zaleca się wybieranie stanowisk zapewniających dobrą osłonę głowy i pleców oraz unikanie ubioru zawierającego barwy charakterystyczne dla głowy tokującego indora – czerwone, białe i niebieskie. Po zakończonym polowaniu tuszę indyka należy przenosić w plecaku lub specjalnym pokrowcu, aby nie prowokować niebezpiecznych sytuacji.

O skali polowań najlepiej świadczą dane z jednego sezonu. W sezonie wiosennym zgłoszono pozyskanie **7763 indyków**, natomiast jesienią **225 ptaków**. Wśród jesiennych pozyskań około **32% stanowiły osobniki młode**, a **50% – samice**. Co piąty ptak (21%) został pozyskany podczas jesiennego sezonu przeznaczanego wyłącznie dla łuczników i myśliwych polujących z kuszą.

fot. archiwum autora

Michał Kiełb

Wycena medalowa trofeów jeleni byków pozyskanych w sezonie 2025/2026

Mateusz Dudzik



Trofea łowieckie towarzyszą człowiekowi od chwili, gdy rozpoczął polowanie. Stanowią one materialny wyraz vitalności i siły życiowej zwierząt, które je nosiły. Ich jakość świadczy nie tylko o kondycji fizycznej poszczególnych osobników, lecz także o wartości siedlisk, w których bytują, oraz o poziomie gospodarki łowieckiej prowadzonej w danym obwodzie, regionie czy kraju.

Dla myśliwego największą wartość ma jednak trofeum, którego pozyskanie na trwałe zapisało się w jego pamięci. Nie musi to być wcale złotomedalowy wieniec. Równie ważne są okoliczności łowów – chwila podjęcia decyzji o oddaniu strzału, przebieg polowania oraz etyczne, szybkie i bezbolesne dla zwierzyny zakończenie jej życia. Wszystkie te elementy sprawiają, że dane trofeum zajmuje szczególne miejsce wśród pozostałych i nabiera wyjątkowej, osobistej wartości. Jest to wartość indywidualna, zawsze w pewnym stopniu subiektywna.

Obok tej osobistej oceny funkcjonuje również obiektywny system wartościowania trofeów oparty na formule CIC. Został on opracowany przede wszystkim na podstawie precyzyjnych pomiarów, które pozwalają

porównywać jakość trofeów według jednolitych kryteriów, niezależnie od emocjonalnego stosunku ich właścicieli.

Zadaniem Komisji Wyceny Trofeów Łowieckich Zarządu Okręgowego PZŁ w Krakowie jest medalowa wycena trofeów, które – po wcześniejszej ocenie prawidłowości odstrzału – spełniają wymagania kwalifikujące je do oceny zgodnie z zasadami CIC. W tym roku Komisja obradowała 16 marca, dokonując przede wszystkim wyceny wieńców jeleni byków.

Po szczegółowej analizie Komisja przyznała 1 medal złoty, 11 medali srebrnych oraz 21 medali brązowych. Łącznie w sezonie pozyskano 175 jeleni byków, z czego trofea medalowe stanowiły 18,9% całego pozyskania. Oznacza to wyraźny wzrost udziału byków medalowych w porównaniu z sezonem 2024/2025, kiedy odsetek ten wyniósł 11,8%.

Najwyżej ocenionym trofeum był wieniec byka pozyskanego w obwodzie nr 87, dzierżawionym przez Koło Łowieckie „Luboń” w Lubniu. Trofeum, zdobyte przez kol. Sławomira Druzgałę uzyskało 219,13 pkt CIC, co zapewniło mu medal złoty.

W zakończonym sezonie najwięcej

medalowych byków – **po pięć** – pozyskano w obwodach nr 50, dzierżawionym przez Koło Łowieckie „Diana” w Chrzanowie, oraz nr 49, dzierżawionym przez Koło Łowieckie „Żuraw” w Chrzanowie. **Po cztery** medalowe wieńce pozyskano w obwodzie nr 36, użytkowanym przez Koło Łowieckie „Łoś” w Libiążu, oraz w obwodzie nr 64, dzierżawionym przez Koło Łowieckie „Ponowa” w Krakowie. Z kolei **po**

trzy medalowe osobniki pozyskali myśliwi z kół łowieckich „Szarak” w Krakowie (obwód nr 66) oraz „Puszcza” w Niepołomicach (obwód nr 83).

Szczególną przychylnością św. Huberta w sezonie 2025/2026 cieszył się kol. Przemysław Wróbel, który pozyskał trzy medalowe byki. Po dwa medalowe wieńce zdobyli natomiast koledzy Artur Czajeczki, Przemysław Szczepaniec oraz Marcin Klusek.

medal złoty

L.p.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek byka	Masa trofeum brutto (kg)	Forma poroża	Wstępna wycena CIC (pkt.)
1.	Sławomir Druzgała	87	11	9,9	16NOK	219,13

medal srebrny

L.p.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek byka	Masa trofeum brutto (kg)	Forma poroża	Ostateczna wycena CIC (pkt.)
1.	Artur Czajeczki	50	5	8,2	16NOK	202,75
2.	Paweł Broś	55	11	8,0	12ROK	199,52
3.	Jarosław Ożóg	64	6	8,3	12NJK	194,13
4.	Zbigniew Banaszewski	50	11	8,2	24NOK	193,92
5.	Jerzy Wandas	66	12	7,0	14NOK	193,19
6.	Przemysław Wróbel	36	9	8,1	M	192,97
7.	Arkadiusz Kowalczyk	49	9	6,7	16NOK	192,93
8.	Przemysław Szczepaniec	50	6	7,5	12NJK	192,29
9.	Przemysław Szczepaniec	50	8	7,7	12NJK	192,17
10.	Artur Kuś	83	11	7,6	12NOK	190,58
11.	Włodzimierz Kucia	49	6	7,1	12NJK	190,24



medal brązowy

L.p.	Nazwisko i imię myśliwego	Nr obwodu	Wiek byka	Masa trofeum brutto (kg)	Forma poroża	Ostateczna wycena CIC (pkt.)
1.	Przemysław Wróbel	36	11	7,7	14ROK	189,79
2.	Artur Czajewski	50	10	8,2	12ROK	187,28
3.	Maciej Ostrowski	84	10	6,4	12ROK	184,84
4.	Tomasz Ptasinski	36	11	6,8	14NJK	184,73
5.	Andrzej Pakula	64	5	7,2	M	184,40
6.	Piotr Czekanski	49	8	6,6	14ROK	183,50
7.	Tomasz Romek	66	4	7,2	10RNK	183,26
8.	Maciej Maczenski	67	6	7,0	12NJK	183,12
9.	Andrzej Pakula	64	8	6,6	10RJK	182,83
10.	Tomasz Swiech	78	8	5,8	12ROK	182,42
11.	Mateusz Raputa	64	6	6,7	12NJK	181,08
12.	Marcin Klusek	83	7	6,3	12NJK	179,80
13.	Witold Lalicki	54	7	6,1	14ROK	178,57
14.	Arkadiusz Kowalczyk	49	10	6,2	12ROK	176,91
15.	Marek Przybylo	66	6	6,1	12NJK	176,12
16.	Jan Czekanski	49	6	5,5	10NJK	174,93
17.	Przemyslaw Wrobel	36	7	6,1	10RNK	173,00
18.	Marcin Klusek	71	5	5,6	M	172,22
19.	Tomasz Jamka	75	6	6,3	10RNK	171,63
20.	Grzegorz Hobora	63	4	5,8	M	170,96
21.	Jan Kus	83	8	6,5	10NNK	170,79

A teraz kilka interesujących danych statystycznych. Średnia masa tuszy jeleni byków pozyskanych w minionym sezonie wyniosła 140 kg, natomiast średnia masa poroża – 3,95 kg.

Najliczniejszą grupę wśród pozyskanych jeleni stanowiły byki w 3. i 4. roku życia – łącznie 93 osobniki. Ze względu na formę poroża najczęściej pozyskiwano ósmaki (50 osobników) oraz dziesiątki (37 osobników).

Struktura pozyskania w poszczególnych klasach wieku wskazuje na prawidłową realizację zasad selektywnej gospodarki łowieckiej i sprzyja poprawie struktury wiekowej populacji byków poprzez zwiększanie udziału osobników starszych. Wśród odstrzelonych jeleni dominowały byki najmłodsze, w wieku 2–5 lat, które stanowiły 64% całego pozyskania. Byki średniowiekowe, liczące 6–10 lat, stanowiły 32% pozyskanych osobników, natomiast udział byków w wieku łownym (11 lat i więcej) wyniósł zaledwie 4%.

Niestety na pozyskanych 175 jeleni byków 15 z nich zostało ocenionych przez komisję oceny prawidłowości odstrzału jako odstrzał nieprawidłowy, a 5 jako odstrzał rażąco nieprawidłowy.

Darzbór



Mateusz Dudzik
Łowczy Kł „Grodzisko”
w Raciechowicach,
przewodniczący Komisji Oceny
Prawidłowości Odstrzału,
członek Komisji Wyceny Trofeów
Łowieckich, miernicy CIC.



Byk strzelony przez redaktora naczelnego naszego pisma, w zimowej górskiej scenerii. Sam byk, jak i jego transport w miejsce bardziej cywilizowane, pozostaje do dziś barwnym wspomnieniem.

redakcja

Nie tylko medale!



Tego trzyletniego jelenia byka o niezwykle rzadkiej anomalności poroża – perukarza – upolował Hubert Skupień członek Koła Łowieckiego „Myśliwiec” w Lanckoronie. Tusza tego byka ważyła 85 kg. Jego jądra były wielkości żółędzi co potwierdzałoby, dlaczego stał się perukarzem.

Marek P. Krzemień

Międzynarodowy Zakon św. Huberta

Witold Daniłowicz



Początki zakonu są związane ze zmianami w polowaniach dworskich, które miały miejsce w Europie w XVII wieku. Okres ten kojarzy się przede wszystkim z polowaniami w zwierzynicach, w trakcie których zwierzyna była przepędzana przed myśliwymi, stojącymi na specjalnie przygotowanych podwyższeniach albo w pawilonach. Ogromna liczba zwierząt, które zabijano w ich trakcie, szokuje dzisiejszych myśliwych. W tym samym czasie na dworach królewskich i arystokratycznych polowano także na zwierzynę grubą konno. W ten sposób łowiono głównie jelenie, a celem myśliwych było skłucie

zwierza osaczonego przez psy. Ponieważ zwierzyna była wcześniej otropiona przez służbę dworską, czas polowania był ograniczony.

Nie wszystkim ówczesnym myśliwym te sposoby polowań przypadły do gustu. Wielu z nich było zainteresowanych polowaniami mniej „zorganizowanymi” i związanymi z większym wysiłkiem fizycznym. Z tego powodu na dworze francuskim za panowania Ludwika XIV narodził się nowy rodzaj polowań – par force. Wyjeżdżano do lasu, nadal konno, nowością było jednak to, że zwierzyna nie była wcześniej otropiona. Łowcy ruszali więc na polowanie

z psami, które najpierw musiały zwierza wytrącić. Gdy właściwy byk albo odyniec został rozpoznany następowała gonitwa, w trakcie której jeźdźcy podążali za złąją.

Za panowania Ludwika XIV Francja stała się potęgą europejską, której symbolem stał się wybudowany przez niego pałac w Wersalu, tradycyjnym łowisku królów francuskich. Zastąpił on skromny pałacyk myśliwski jego ojca. Dwór „króla słońce”, mecenasa kultury i sztuki, przyciągał wszystkie znaczące osoby tamtego okresu. Wiele z nich brało udział w wyprawach łowieckich organizowanych przez gospodarza. W ten właśnie sposób z polowaniami par force zetknął się po raz pierwszy zapalony myśliwy Franciszek Antoni hrabia von Sporck, poddany cesarza austriackiego. Podróżując po Europie hrabia spędził trochę czasu na dworze francuskim. Poznawszy tam polowania par force szybko został ich wielkim amatorem, a później propagatorem.

Fascynacja hr. von Sporcka polowaniami w stylu francuskim wynikała z tego, że uważał je za bardziej etyczne od tradycyjnych. Po pierwsze wymagały one od uczestników znacznie większego wysiłku, jako że czas spędzony w siodle był dużo dłuższy. Ponadto, zwłaszcza w porównaniu z polowaniami w zwierzynicach, istotnie redukowało one liczbę pozyskanej zwierzyny. Co więcej, praktycznie eliminowały możliwość ujęcia rannych sztuk. Von Sporck starał się rozsądnie gospodarować swoimi terenami łowieckimi. Dbał o dobrą kondycję zwierzyny, sprowadzał dorodne jelenie, aby wzmocnić pulę genetyczną i wprowadził danielę. Dlatego polowania par force bardzo pasowały do jego modelu łowiectwa.

Po powrocie w strony rodzinne von Sporck zaczął organizować polowania na wzór francuski w swoich dobrach w miejscowości Lissa an der Elbe (dzisiaj Lysá nad Labem). Miasteczko to położone w Czechach, wówczas były częścią Austrii. Ojciec hrabiego, generał hr. Johann von Sporck, otrzymał ten majątek od cesarza Ferdynanda III wraz z tytułem szlacheckim za zasługi w czasie wojny trzydziestoletniej. Piękny pałac, który tam zbudował, zachował się do dzisiaj. W skład majątku wchodziły wspaniałe tereny łowieckie, na których jego najstarszy syn, hr. Franciszek Antoni urządzał polowania dla siebie, swoich przyjaciół i zaproszonych gości.

Hrabia von Sporck nie ograniczył się tylko do organizowania polowań nowego typu w swoich dobrach. Podjął wysiłek na rzecz ich upowszechnienia w całej Europie Środkowej. Jednym ze sposobów osiągnięcia tego celu było oczywiście zapraszanie znaczących myśliwych

tamtego okresu na polowania do swojego majątku w Czechach. Temu samemu celowi miało też służyć powołanie w 1695 r. zakonu św. Huberta. W tym celu hrabia ustanowił order, który przynależał osobom uznanym przez siebie za godne tego wyróżnienia i które były skłonne przyjąć ustanowione przez niego zasady. Osoby te nie tylko musiały wykazać się umiejętnościami myśliwskimi i przestrzeganiem etyki łowieckiej, ale także zobowiązać się do zarządzania swoimi terenami łowieckimi w sposób, który dziś nazwalibyśmy zrównoważonym czy racjonalnym.

Lista członków zakonu św. Huberta, a więc osób, które otrzymały od hrabiego ustanowiony przez niego order, niestety nie zachowała się. Mimo to udało się ustalić nazwiska kilkudziesięciu z nich. Większość należała do ówczesnej elity Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, zwłaszcza do rodziny Habsburgów, której przedstawiciele przez prawie 400 lat zasiadali na tronie cesarskim. Order cieszył się także wysokim prestiżem wśród szlachty czeskiej, bawarskiej, saskiej, śląskiej i polskiej. Jednym z jego kawalerów był książę Hieronim Florian Radziwiłł, który w czasie swoich podróży do Austrii kilkakrotnie polował w dobrach hr. von Sporcka. Członkami zakonu byli prawdopodobnie także królowie polscy z saskiej dynastii Wettynów – August II i August III, a także żona Augusta III, arcyksiężna austriacka Maria Józefa. Była jedną z wielu kobiet, które dostały tego zaszczytu.

O działalności zakonu nie wiemy zbyt wiele. Wydaje się, że nie była to sformalizowana organizacja typu dzisiejszych stowarzyszeń. Najprawdopodobniej była to nieformalna grupa osób, które otrzymały od hr. von Sporcka ustanowiony przez niego pamiątkowy order. W tym miejscu trzeba zwrócić uwagę na kwestię językową. O ile po polsku pod pojęciem orderu rozumiemy tylko odznaczenie, o tyle w języku niemieckim (ale i angielskim) słowem tym określa się zarówno order (w znaczeniu odznaczenia) jak i zakon (z rozumieniem grupy ludzi). Jest wynikiem tego, że wiele zakonów tworzyli i tworzą do dzisiaj, właśnie posiadacze określonego odznaczenia. Stanowią oni nieformalną organizację, na czele której stoi kapituła i wielki mistrz. Jako przykład można wskazać polski Order Orła Białego, który też ma swoją kapitułę, na czele której stoi wielki mistrz.

Medal hr. Von Sporcka miał kształt owalnego medalionu z wizerunkiem św. Huberta i był zawieszony na złotym łańcuszku przyczepionym do czerwonej wstążki. Pod medalionem podwieszona była, również na złotym łańcusz-



ku, miniatura małego rogu myśliwskiego używanego podczas polowań par force. Zakon tworzyli więc wszyscy kawalerowie i damy orderu. Jego założyciel był jego pierwszym i, jak się miało okazać, jedynym wielkim mistrzem. Członkami zaś byli przedstawiciele ówczesnych domów panujących i inni arystokraci, co nie powinno dziwić, jako że w tamtym czasie tylko oni byli właścicielami terenów łowieckich. Jednym z nich był książę Hieronim Florian Radziwiłł. Zachował się fragment listu, w którym von Sporck pisze księciu o założonym przez siebie zakonie: „obowiązki członka zakonu polegają na tym, by pośród przyjemności myśliwskich nie zapominać o powinnościach, do których wzywa nas miłość bliźniego”.

Hrabia von Sporck ustalił zbiór zasad, którymi powinni kierować się jego członkowie. Mieli oni szereg obowiązków – m.in. powinni uczestniczyć we mszy świętej przynajmniej raz w tygodniu. W miarę możliwości powinni także brać udział w polowaniu par force urządzanym przez wielkiego mistrza corocznie w Lisse

w dniu patrona zakonu, tj. 3 listopada. Ci, którzy nie mogli przybyć, powinni byli zorganizować takie polowanie w swoich dobrach. Wszystkie obowiązki były ujęte w punktach – tzw. Regulach Zakonu, spisanych przez jego założyciela wierszem. Oprócz obowiązków członkowskich zawierały one regulamin polowań, spis sygnałów łowieckich, okresy ochronne zwierzyny, a także opis zwyczajów łowieckich z wykazem kar za ich naruszenie.

Wielki mistrz zakonu św. Huberta zmarł w 1738 r. Spadkobiercą hr. von Sporcka został jego zięć i adoptowany syn Franz Karl Rudolf hr. Swéerts-Sporck. Niestety nie był on specjalnie zainteresowany myślistwem i szybko zaniechał organizowania polowań par force w dobrach rodzinnych. W rezultacie, w ciągu kilku zaledwie lat po śmierci pierwszego i zarazem ostatniego wielkiego mistrza zakon przestał de facto funkcjonować.

Odtworzenie zakonu założonego przez hr. von Sporcka miało miejsce 10 maja 1950 roku we Wiedniu. Inicjatorem był Austriak, dr Albert

Frank Messany, myśliwy i autor wielu publikacji na tematy łowieckie. Otrzymał on wsparcie dla tej inicjatywy zarówno od rządu austriackiego jak i amerykańskich oraz brytyjskich władz okupacyjnych. Zakon został przez niego odtworzony pod zmienioną nazwą – Międzynarodowy Zakon św. Huberta. Nowa nazwa ma podkreślać światowy zakres jego działalności. Doktor Massany został jego pierwszym wielkim mistrzem. Dzisiaj funkcję tę pełni wnuk ostatniego cesarza Austrii, Karola I, arcyksiążę Istvan von Habsburg-Lothringen. Honorowym patronem zakonu jest były król Hiszpanii, Juan Carlos I.

Zakon zrzesza ok. 1400 pasjonatów łowiectwa i wędkarstwa, których celem jest wspieranie i upowszechnianie etycznego myślistwa i wędkarstwa, ochrony zwierzyny i jej siedlisk oraz środowiska. Znajduje to wyraz w jego dewizie: Deum Diligite Animalia Diligentes – Miłujcie Boga, szanując Jego stworzenia. Członkowie mają obowiązek dbania o zachowanie i przestrzeganie tradycji, zwyczajów i ceremoniałów łowieckich. Kawalerem zakonu można zostać tylko na zaproszenie, mając poparcie co najmniej dwóch kawalerów jako wprowadzających.

Zakon ma swoje oddziały narodowe, zwane wielkimi przeoratami albo baliwatami, w Austrii, Belgii, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Portugalii, Holandii, Niemczech, Rumunii, Szwajcarii i w Luksemburgu a także we Francji i we Włoszech. Poza Europą zakon jest obecny w Stanach Zjednoczonych, Meksyku, Kanadzie i w Argentynie. Od niedawna Międzynarodowy Zakon św. Huberta ma też swój oddział w Polsce.

fot. archiwum autora



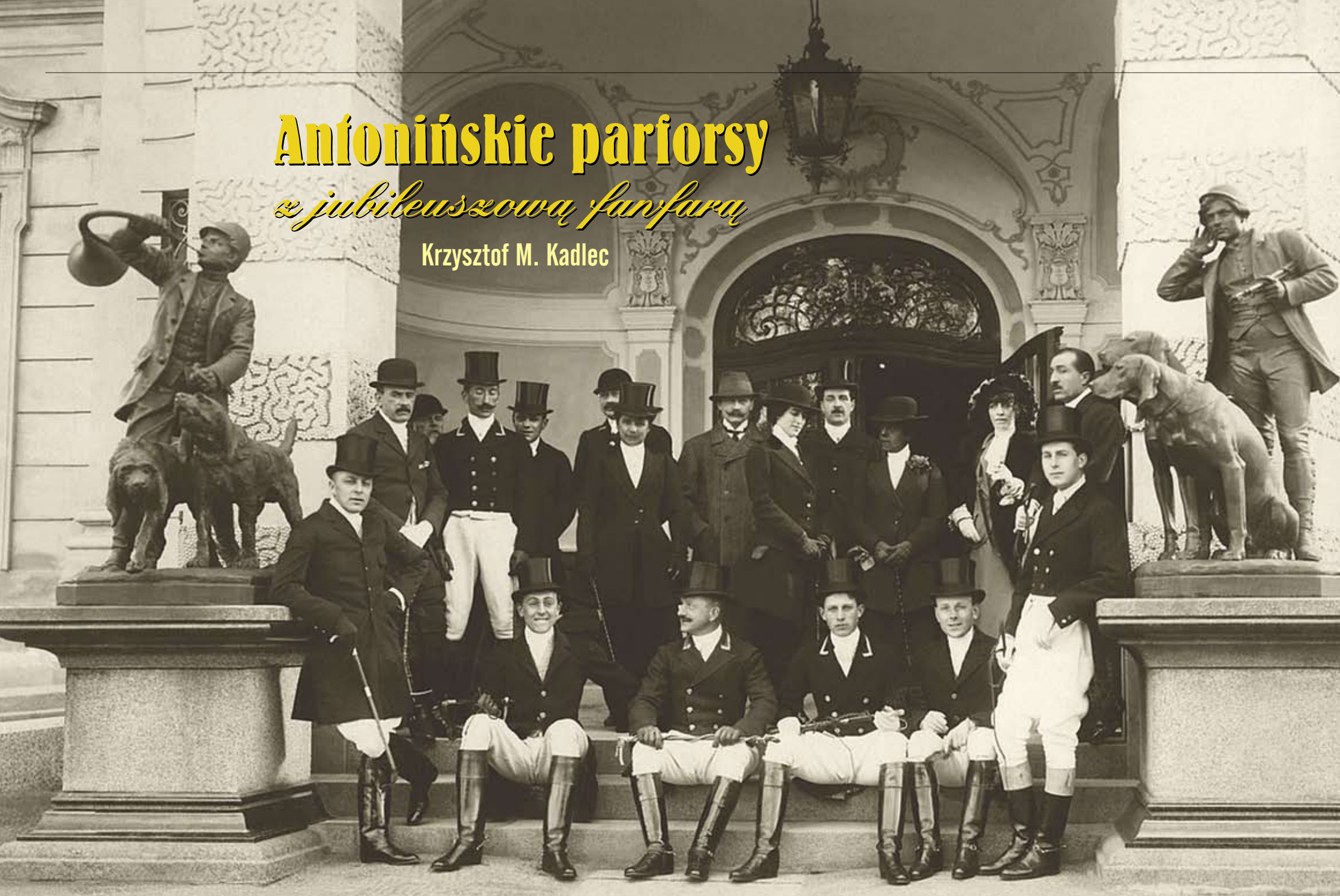
Witold Daniłowicz

Prawnik, prezes koła łowieckiego i publicysta. Autor licznych publikacji poświęconych problematyce łowieckiej, jej społecznemu wymiarowi oraz wyzwaniom stojącym przed współczesną gospodarką łowiecką. Za działalność naukową i publicystyczną został odznaczony Medalem św. Huberta.



Antonińskie parforsy z jubileuszową fanfara

Krzysztof M. Kadlec



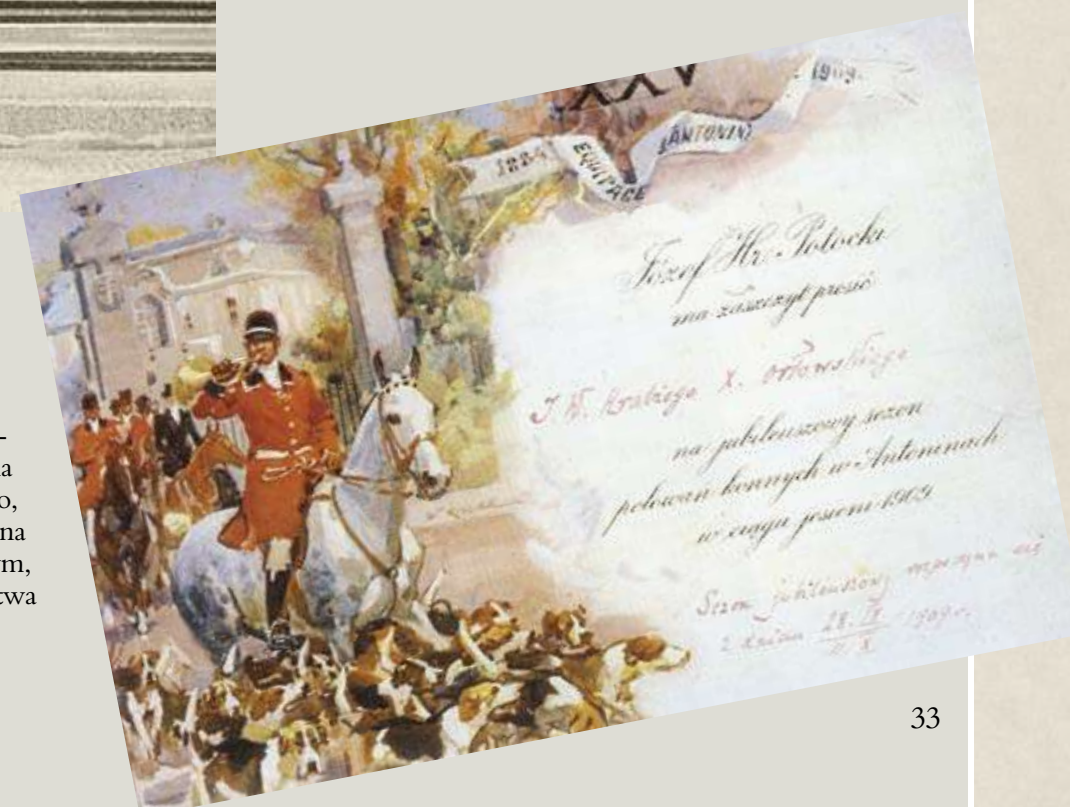
i wspaniałej hodowli koni, pierwsze parforsy zostały zorganizowane przez hrabiego Józefa Potockiego w 1884 roku. Antoniny należały wówczas do jego matki, Marii z Sanguszków Alfredowej Potockiej. Ona też była pomysłodawczynią tego przedsięwzięcia. Sezon polowań rozpoczynał się zawsze w październiku i trwał nie dłużej niż do pierwszych dni listopada, co było podyktowane kontynentalnym klimatem panującym w tych stronach oraz wcześniejszym nadejściem zimy. Okolice Antonin, z pagórkowatym i malowniczym ukształtowaniem terenu oraz naturalnymi przeszkodami znakomicie nadawały się do polowań par force. Aby jeszcze bardziej podnieść atrakcyjność łowieckiej goniwki budowano sztuczne przeszkody, takie jak murki obsadzone strzyżonym żywopłotem oraz wały z rowami, zwane „antoninkami” lub „wołynkami”. W polowaniach brali udział spokrewnieni z gospodarzami, m.in. Lubomirscy, Potoccy, Radziwiłłowie, Sapiehowie, Sobańscy, Tarnowscy i Zamoyscy. Antonińskie parforsy znalazły swoich naśladowców stając się wzorem dla innych ziemian. Jednym z nich był Tadeusz Dachowski, który w dojrzałym wieku nauczył się jeździć konno, aby brać udział w polowaniach u Potockiego. Jako jedyny w tym towarzystwie potrafił również grać na trompe de chasse. W październiku polowano ze strzelbą przede wszystkim na kaczki, bażanty, lisy i zające, a w polowaniach par force na kozły, daniela i jelenie. Te ostatnie sprowadzano specjalnie ze Spawy, terenów łowieckich, należących do cara Mikołaja II. Często do oprawy muzycznej łowów zapraszano parforsistów z Francji, specjalizujących się w grze na trompes de chasse.

K

onne polowania par force to jedne z najbardziej malowniczych i widowiskowych form łowów. Galopujący na koniach myśliwi pokonujący na przestrzeni wielu kilometrów przeszkody w trudnym, naturalnym terenie, sfory psów podążające za tropem zwierzyny pod wprawnym okiem dojeżdźaczy, pikierzy z dużymi rogami myśliwskimi zwanymi trompes de chasse przewieszonymi przez ramię lub z małymi krótkimi różkami mocowanymi do specjal-

nym wsuwki przy siodle, rozbrzmiewające donośne dźwięki myśliwskich fanfar informujących o przebiegu łowów, wszyscy obowiązkowo ubrani w stylowe stroje z odpowiednimi guzikami zwanymi z francuska „boutonami”. Całość tworzyła niepowtarzalny koloryt. Ta przebogata tradycja łowów wyrosła na gruncie francuskiej i angielskiej arystokracji. W Polsce po raz pierwszy polowania par force na angielską modłę wprowadził w 1841 roku Adam Potocki, organi-

zując je u stryja Alfreda Potockiego w Łańcucie. Za jego przykładem zaczęto uprawiać ten rodzaj łowów również w kilku innych majątkach. W Antoninach na Wołyniu, o których mówiono, że są: kawałkiem zachodu na południe Rusi przeniesionym, znanych ze swego bogactwa





W 1909 roku przypadł 25. sezon polowań konnych w Antoninach. Z tej okazji Wojciech Kossak wykonał akwarelową winietę z nutami fanfary specjalnie powstałej na tę okoliczność. Nuty te, wraz z zaproszeniem, rozesłano do stałych bywalców antonińskich parforsów. Ten dwugłosowy utwór, zatytułowany „ńska Fanfara Jubileuszowa”, przeznaczony był do wykonywania na trompes de chasse. Umieszczone pod nutami słowa sugerują, że miał on charakter nie tylko instrumentalny, ale również wokalny. Autorem tekstu i prawdopodobnie muzyki jest Jan Pogórski z Kościelca (1878-1943) – uczestnik i piewca słynnych antonińskich parforsów, twórca „Poematu myśliwskiego”. Melodia „Antonińskiej Fanfary Jubileuszowej”, wraz z towarzyszącym jej tekstem, stała się okolicznościową pieśnią myśliwską. W sobotę 16 października zaplanowano „Wielki Dzień Jubileuszowy”. Rozpoczął

się mszą świętą w pałacowej kaplicy, po czym nastąpiło wręczenie hrabiemu Józefowi Potockiemu prezentów. Z inicjatywy serdecznego przyjaciela hrabiego, a zarazem zamilowanego myśliwego i znanego hodowcy koni, Zdzisława Tarnowskiego z Dzikowa w Galicji, zamówiono u Wojciecha Kossaka wspólny portret. Na tle słynnej Dębiny skąd zawsze rozpoczynano łowy, malarz wkomponował postacie stałych uczestników polowań. I tak oprócz portretu Józefa Potockiego, jako mastra, znalazły się podobizny Zdzisława Tarnowskiego, jego brata Juliusza, Zdzisława Lubomirskiego, Tomasza Zamoyskiego, Augusta i Jana Zamoyskich oraz Stanisława Siemieńskiego. Moment podarowania obrazu tak opisuje Wojciech Kossak w liście do żony:

Wczorajszy dzień był dniem mojego triumfu. Podczas mszy w kaplicy ustawiłem obraz w hallu, gdzie inne dary również były złożone. Zdziś [Tarnowski] i reszta „starych” stanęli w czerwonych surdutach już gotowi do polowania i wobec zgromadzonych gości Zdziś piękną mowę wypowiedział, makata okrywająca obraz spadła i akt ofiarowania nastąpił. Sukces ogromny, rzeczywisty, nieklamany a moi mandariusze ze mnie uszczęśliwieni.

Po tej uroczystej ceremonii goście przeszli do pałacowej jadalni na śniadanie, po którym,

Antonińska Fanfara Jubileuszowa

Jan z Kościelca Pogórski

1. Czwierć
Hej,

wie - ku już mi - ja, jak w nie - bo się wzbi - ja trąb
szyb - ko czas bie - ży, jak w le - śnej ru - bie - ży zwia -

io - skot, psów gra - nie, ra - do - sne wo - ła - nie... na koń! Ta sa - ma dru - ży - na wy -
tra - mi gna je - leń przez la - sów tych zie - leń, hej, goń!

je - źdza na bło - nie, tak sa - mo pod ni - mi o - cho - czo rzą ko - nie, niech

trą - by za - gra - ją na świat, ha! - la - li! dwa - dzieś - cia pięć lat!



zgodnie z tradycją, przed polowaniem, przy wejściu do pałacu, zrobiono wspólną fotografię, po czym odegrano na trompes de chasse „ńską Fanfarę Jubileuszową”. Był to znak do rozpoczęcia łowów. Wrażenia z tego polowania Kosak opisał w liście do żony:

Polowanie było straszne, jak żyję nic podobnego nie przeżyłem. O pierwszej siedliśmy na konie, trzy godziny! Galopowaliśmy za tym wściekłym jeleniem, przeszkody straszne. Dachowski się zwałił les quatre fers en l'air, zgniotło mu trąbę, cylinder. [...] jeden z najlepszych importowanych [koni] padł na ściernisku porażony atakiem serca. [...] Trzy konie reprezentujące 10000 złr [reńskich] padły, bo mój biedactwo już zdaje się w agonii. [...] Wróciliśmy późną nocą w przymrozek, na koniach ciężko chorych a dwóch piechotą. Dopiero na parę wiorst od Antonin (polowanie odleciało 30 wiorst [ok. 30 km] od Antonin) zaświeciły les phares automobilów trzech, naładowanych stajennymi chłopcami i futrami. Chłopcy na nasze konie skoczyli, a my do futer i automobili [...]. Dachowski, Lubomirski [...] i Giżycki pognali dalej (ale mieli konie inne do zmiany, wrócili późno w nocy) i tak jelenia nie dostali.

Zaledwie dziesięć lat później nastąpił kres bogatej i pełnej tradycji rezydencji Józefa hrabiego Potockiego. W 1919 roku podczas bolszewickiej zawieruchy pałac w Antoninach został spalony. Z tej niegdyś wspaniałej rezydencji, leżącej na terenie obecnej Ukrainy, pozostał zaledwie budynek krytej ujeżdżalni i wozownia oraz bramy z herbami dawnych właścicieli.

W dniu 24 marca 2019 roku Komisja Akademii Międzynarodowej Federacji Trompes de Chasse we Francji [Fédération Internationale des Trompes de France] potwierdziła Certyfikatem autentyczność „L'ANTONINSKA” („Jubileuszowej Fanfary Antonińskiej”), włączając ją do bibliotecznych zasobów europejskiej federacji.

Nuty ze słowami oraz mechaniczny zapis dźwiękowy znajdują się na stronie internetowej www.muzyka.mysliwska.pl, na podstronie Nuty.

fot. archiwum autora

Fédération Internationale des Trompes de France Commission Académique



M. Paul DELATOUR

Le 24 mars 2019,

Attestation d'HOMOLOGATION

C'est avec joie que la Commission Académique F.I.T.F confirme la validation de

« L'ANTONINSKA »,

composition d'auteur inconnu.

La partition présentée ci-dessous intégrera la partothèque de notre Fédération.

Pour la Commission Académique,
Bruno Cazallé.

[Signature]

L'ANTONINSKA
à l'Équipage d'Antonin, au comte Jozef Potocki
Préface

Inconnu
1909



Le destinataire est invité à signaler toutes anomalies constatées dans un délai maximum de 10 jours suivant la date figurant sur le document.
Bruno Cazallé - 34 rue de la Palibe - 40220 TARNOS - ☎ 06 40 34 73 61 - E-mail : cazalle.bruno@orange.fr

Fédération Internationale des Trompes de France - 19, rue de Patay - 45000 Orléans
Association régie par la Loi du 1 juillet 1901
Tél 02 38 77 08 56 - Fax 02 38 62 50 27 - Sites : www.fitf.org @mail : secretariat@fitf.org



Krzysztof Marceli Kadlec

Członek Komisji Kultury ZO PZŁ w Poznaniu, przewodniczący Komisji Muzycznej Klubu Sygnalistów Myśliwskich PZŁ, prezes Oddziału Poznańskiego Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej. Kawaler Zakonu Orderu Złotego Jelenia, kompozytor utworów muzyki łowieckiej, autor książki „Las i myślistwo w muzyce polskiej” (2015), pierwszej polskiej „Szkółki na róg myśliwski” (2012) i „Mszy hubertowskiej” na zespół naturalnych rogów myśliwskich w stroju B (2019) oraz wielu artykułów poświęconych polskiej muzyce myśliwskiej.



Od warsztatów po konkursy krakowski rok kynologii łowieckiej

Ewa Dobrzyńska-Lankosz



Rok 2026 obfituje w imprezy kynologiczne, których inicjatorem i głównym organizatorem jest Komisja Kynologii Łowieckiej przy ZO PZŁ w Krakowie.

Pierwsze dwie imprezy to warsztaty (I i II edycja) przygotowujące psy do pracy w wodzie i szuwarze. Zostały one przeznaczone dla wyżłów oraz płochaczy. Miejsce warsztatów było wymarzone – stawy hodowlane w Spytkowicach (OHZ Zator).

Na 6 września zaplanowano konkurs tropowców i posokowców, natomiast 10 października odbędą się testy hodowlane.

I edycja warsztatów

Warsztaty składały się z części teoretycznej i praktycznej. W części teoretycznej podstawowe informacje dotyczące pracy z psem myśliwskim przekazywali przede wszystkim Zofia Karolczyk – międzynarodowy sędzia pracy psów myśliwskich – oraz Tadeusz Sadowski, szkoleniowiec z wieloletnim doświadczeniem i wieloma sukcesami konkursowymi.

Pierwsza edycja warsztatów odbyła się 25 lipca. Uczestniczyło w niej 27 psów, w tym 22 wyżły oraz 5 psów zaliczanych do grupy 8 FCI (aportery, płochacze i psy dowodne). Warto

podkreślić, że w tej drugiej grupie znalazł się polski spaniel myśliwski – rasa oczekująca na zakwalifikowanie do FCI (Fédération Cynologique Internationale – Międzynarodowa Federacja Kynologiczna).

Zestawienie ras uczestniczących w I edycji:

Wyżły:

- mały münsterländer – 5,
- seter irlandzki – 4,
- seter szkocki (Gordon) – 1,
- wyżeł niemiecki krótkowłosy – 4,
- wyżeł niemiecki szorstkowłosy – 3,
- wyżeł weimarski krótkowłosy – 3,
- wyżeł węgierski krótkowłosy – 2.

Aportery, płochacze, psy dowodne:

- cocker spaniel angielski – 2,
- płochacz niemiecki Wachtelhund – 1,
- polski spaniel myśliwski – 1,
- golden retriever – 1.

Najmłodszy psi uczestnik miał 4 miesiące, najstarszy – 6 lat.

Na wstępie organizatorzy przedstawili program zajęć praktycznych. Następnie prowadzący przybliżyli uczestnikom zasady pracy psa w wodzie, opierając się na regulaminie testów hodowlanych, oraz pracy w wodzie i szuwarze,

zgodnie z regulaminem konkursu cząstkowego wodnego. Ze strony głównego organizatora uczestników powitali: dr hab. Marek Wajdzik, prof. UR w Krakowie (leśnik, znawca ekologii zwierząt łownych oraz gospodarki leśnej) i kierownik Komisji Kynologii Łowieckiej Marcin Cichy. Ze strony współorganizatora uczestników powitał kierownik OHZ Piotr Dziekan, dzięki któremu mogliśmy korzystać z tych niezwykłych terenów wodnych i który cały dzień nam asystował, gotów do pomocy.

Menerów wraz z ich psami podzielono na trzy grupy, które sukcesywnie przechodziły na kolejne stanowiska ćwiczeń. Zajęcia prowadzili członkowie Komisji Kynologii Łowieckiej: Zofia Karolczyk i Marek Wajdzik – aport z łądu (na sztucznym i naturalnym aporcie) – oraz doświadczeni szkoleniowcy: Marcin Cichy i Tadeusz Sadowski, których zajęcia skupiały się na pracy w wodzie (aport z głębokiej wody i szuwaru, kierowanie psem na wodzie, w podobny sposób jak pies przekłada pole). Prowadzących zajęcia wspomagali pozostali członkowie komisji.

Wiele psów nie miało dotychczas styczności z wodą i miało problem z wejściem do niej. Podobnie było z aportem, szczególnie tym z łądu. I jeszcze jedna, niezwykle istotna kwestia – stwierdzono duże braki w apelu. Zakładamy, że

przewodnicy wzięli sobie do serca uwagi, jakie do uczestników podczas rozpoczęcia warsztatów skierował kol. T. Sadowski: apel – to podstawa. Przewodnik ma wydawać krótkie, jasne komendy, a pies ma go słuchać i wykonywać zadania z chęcią, wręcz radością. Wspólnie mają tworzyć zgrany zespół. To kwintesencja pracy z psem i droga do sukcesu. Brak apelu oznacza chaos.

Założeniem warsztatów było pokazanie przewodnikom, jak mają pracować ze swoimi psami. Jak powtarzał kilkakrotnie kol. Sadowski: „Warsztaty są dla was, przewodników. Nie dla psów. Dla Was. Wy macie wiedzieć, jak z psem pracować, czego i jak od niego wymagać. Jeśli wy się tego nie nauczycie, nie spodziewajcie się cudów”.

Po wyczerpującej pracy nastąpił czas posiłku (najwspanialsza na świecie grochówka w wykonaniu kol. Tadeusza Molendy) i odpoczynku w cieniu drzew i wiaty.

Na zakończenie przećwiczone jeszcze odłożenie psów. Tu też różnie było z wykonaniem tego zadania. Jest zatem nad czym pracować. Pozostaje mieć nadzieję, że przewodnicy psów choć po części wyciągnęli wnioski z tych warsztatów i wiedzą nad czym muszą popracować. Jeśli tak się stanie, będą mieć dużą frajdę z posiadania tak wspaniałego towarzysza, jakim jest dobrze ułożony pies myśliwski.





II edycja – wyciągamy wnioski

Wnioski musieli wyciągnąć również organizatorzy. No cóż – były to nasze pierwsze „koty za płoty”.

Dwa zasadnicze wnioski dotyczyły ograniczenia liczby szkolonych psów oraz określenia poziomu ich umiejętności. I to był strzał w dziesiątkę.

W II edycji warsztatów uczestniczyło 11 psów:

- seter irlandzki – 1,
- seter szkocki (Gordon) – 1,
- wyżeł niemiecki krótkowłosy – 3,
- wyżeł weimarski krótkowłosy – 1,
- wyżeł węgierski krótkowłosy – 3.

Tym razem warsztaty były dedykowane psom początkującym. Rozpiętość wiekowa psów: od 6 miesięcy do 3 lat.

Praca odbywała się, podobnie jak w pierwszej edycji, w trzech grupach. Na pierwszym stanowisku porad w zakresie aportu z lądu ponownie udzielali Zofia Karolczyk i Marek Wajdzik. Ćwiczący mieli do dyspozycji sztuczne oraz naturalne aporty (od bażancich skrzydełek po koguty). Drugie i trzecie stanowisko to konkurencje wodne (praca w szuwarze i na głębokiej wodzie). Tu zajęcia prowadzili: Tadek Sadowski i Marcin Cichy. W zależności od umiejętności psów była to nauka wchodzenia do wody, aport z głębokiej wody i „łatwego”, czyli niezbyt gęstego szuwaru.

Jedną z nowości, wprowadzoną przez kol. Sadowskiego, była nauka wchodzenia do wody z łódki, którą, dzięki życzliwości kierownika OHZ, mieliśmy do dyspozycji wraz z kierującym łódką kol. Szymonem. Mimo początkowych obaw i wątpliwości właścicieli psów me-

toda okazała się nadzwyczaj skuteczna i wcale nie stresująca dla psów.

Okolo południa przyszła pora na chwilę wypoczynku dla psiaków oraz ich właścicieli. Przewodnicy znów mieli okazję wzmocnić siły wspianą zawieszoną zupą tego samego, co w lipcu, autorstwa, a psy odpocząć w cieniu po intensywnej pracy.

Oczywiście był to też dobry moment, by na gorąco skomentować dotychczasowe poczynania uczestników warsztatów, udzielić dodatkowych rad.

Po przerwie powrócono do ćwiczeń, które głównie skupiły się na poprawianiu „słabych stron” zarówno psów jak i ich właścicieli.

Na zakończenie imprezy, po krótkim podsumowaniu, uczestnikom wręczono pamiątkowe dyplomy, przygotowane przez jednego z członków komisji – Wojtkę Wojtaszka. Miło

było też usłyszeć od uczestników warsztatów, że chętnie znów przyjechaliby do nas na kolejne warsztaty.

Ogromne podziękowania należą się kierownikowi OHZ, Piotrowi Dziekanowi, współorganizatorowi warsztatów, dzięki któremu mogliśmy zarówno w lipcu, jak i w sierpniu korzystać ze wspaniałych terenów wodnych w Spytkowicach i przygotowanych specjalnie do celów szkoleniowych stanowisk.

Na zakończenie – wisienka na torcie – przepiękne zdjęcia Basi Rączki, która uwieczniła obie imprezy swoim aparatem fotograficznym.

Pierwsze wnioski

Były to pierwsze warsztaty organizowane przez Komisję Kynologii Łowieckiej przy ZO PZŁ w Krakowie. Emocje opadły, pora więc na pierwsze wnioski. Na pewno zmiana formuły, czyli dedykowanie zajęć grupie psów pod kątem ich zaawansowania oraz znaczne ograniczenie liczby psów uczestniczących w zajęciach zadziały na korzyść. Metoda „na łódkę” okazała się bezcenna.

Natomiast de facto nie mamy, i nigdy zapewne mieć nie będziemy, wpływu na dobór startujących pod kątem ich faktycznego zaawansowania.

Prowadzący zajęcia ocenili stan wiedzy i doświadczenia psów i przewodników i stwierdzili, że przed przewodnikami bardzo dużo pracy, a samo uczestnictwo w warsztatach nic nie da, jeśli po ich zakończeniu zdobytej wiedzy nie będą utrzymywać.

Niemniej dało się odczuć, że przewodnikom psów brakuje tego typu imprez, szczególnie na naszym terenie. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że część uczestników I edycji wzięła udział także w drugiej edycji warsztatów. Między innymi Monika Kornecka ze swoją gordonką, przewodnicząca sekcji grupy VII przy ZKwP O/Kraków, znana hodowczyni seterów szkockich, co tym bardziej cieszy, bowiem wyżyły brytyjskie to typowe psy „suchego pola” i rzadko się je widuje podczas pracy w wodzie.

Uczestnikom obu edycji należałoby życzyć niezłomności, by uzyskaną podczas warsztatów wiedzę wykorzystali kontynuując pracę ze swoimi psami. Optymizmem napawa też fakt, że część osób deklarowała udział, w niedalekiej przyszłości, w konkursach.

Pozostaje wyrazić nadzieję, że naszej komisji wystarczy sił i determinacji, by w przyszłym roku znów zorganizować podobne warsztaty, bo wyraźnie widać, że jest na nie zapotrzebowanie.

Należy też podkreślić, że zarówno warszta-



ty, jak i testy hodowlane czy konkursy w znakomity sposób propagują kynologię łowiecką.

A na razie zabieramy się do kolejnej pracy – przygotowania konkursu tropowców i posokowców, który odbędzie się na początku września, oraz testów hodowlanych dla wyżłów zaplanowanych na październik.

fot. Barbara Rączka



Ewa Dobrzyńska-Lankosz
sekretarz Komisji Kynologicznej przy ZO PZŁ w Krakowie,
sekretarz w KŁ Hubert
w Proszowicach, autorka wielu
artykułów z zakresu kynologii
łowieckiej.



Obce gatunki jeleniowatych w Polsce

— ciche zagrożenie dla rodzimej przyrody

Marek Wajdzik



Gdy obcy stają się problemem

Współczesny świat mierzy się z wieloma wyzwaniami środowiskowymi. Zmiany klimatu, utrata bioróżnorodności, kurczące się zasoby naturalne czy degradacja ekosystemów należą do najczęściej wymienianych zagrożeń. Wśród nich coraz większą uwagę naukowców przyciągają gatunki obce inwazyjne – organizmy przeniesione przez człowieka poza ich naturalny zasięg występowania.

Choć nie wszystkie gatunki obce stają się inwazyjne, część z nich potrafi wywoływać poważne

skutki ekologiczne i ekonomiczne. Mogą wypierać gatunki rodzime, zmieniać funkcjonowanie ekosystemów, przenosić choroby, a nawet prowadzić do zaniku lokalnych populacji zwierząt i roślin. W Europie szczególnie duże znaczenie mają obce gatunki ssaków, których wpływ na środowisko oceniany jest jako większy niż wpływ wielu innych grup organizmów.

W Polsce problem ten dotyczy między innymi obcych gatunków jeleniowatych, takich jak jeleń sika oraz daniel zwyczajny.

Skąd wzięły się obce jeleniowate?

Introdukcje, czyli celowe wprowadzanie gatunków poza ich naturalny zasięg, towarzyszą człowiekowi od tysięcy lat. W Europie szczególnie intensywnie prowadzono je na przełomie XIX i XX wieku. Zwierzęta sprowadzano głównie ze względów łowieckich, estetycznych lub w celu wzbogacenia lokalnej fauny.

Szacuje się, że od czasów neolitu do różnych regionów Europy trafiło ponad sto gatunków obcych ssaków. Wśród nich znalazły się liczne ga-

tunki kopytnych, które do dziś występują na wielu terenach kontynentu.

Choć współcześnie liczba nowych introdukcji wyraźnie spadła dzięki większej świadomości ekologicznej i zmianom prawnym, skutki dawnych działań są nadal widoczne.

Jeleń sika – azjatycki przybysz w polskich lasach

Jeleń sika, zwany także jeleniem wschodnim, pochodzi z Azji. Naturalnie występował niegdyś na rozległych obszarach Japonii, Chin i innych krajów regionu. W ciągu ostatnich 150 lat został jednak introdukowany do wielu państw Europy, gdzie często tworzył dzikie populacje po ucieczkach z hodowli.

W Polsce pierwsze introdukcje miały miejsce w latach 1910–1911. Zwierzęta sprowadzono do okolic Pszczyny oraz Kadyn na Warmii i Mazurach. Obecnie populacja kadyńska liczy około 250–300 osobników, podczas gdy populacja pszczyńska jest znacznie mniejsza.

Na pierwszy rzut oka obecność siki może wydawać się nieszkodliwa. Problem pojawia się jednak wtedy, gdy gatunek ten zaczyna krzyżować się z naszym rodzimym jeleniem szlachetnym.

Hybrydyzacja – zagrożenie niewidoczne gołym okiem

Jednym z najpoważniejszych skutków obecności jelenia sika jest hybrydyzacja, czyli tworzenie mieszańców międzygatunkowych. Dochodzi do niej najczęściej wtedy, gdy samce siki kojarzą się z samicami jelenia szlachetnego.

Badania genetyczne przeprowadzone w Europie Wschodniej wykazały, że zjawisko to występuje na znacznie większą skalę, niż wcześniej przypuszczano. W niektórych badanych populacjach mieszańce stanowiły ponad 15% wszystkich analizowanych osobników.

Dlaczego jest to niebezpieczne? Mieszanie się materiału genetycznego może prowadzić do stopniowego zanikania unikalnych cech rodzimych populacji. W skrajnych przypadkach długotrwała hybrydyzacja może doprowadzić do utraty genetycznej odrębności gatunku.

Dodatkowym problemem jest trudność w rozpoznawaniu mieszańców. Część z nich przypomina jelenie szlachetne, inne wyglądają, jak sika. Oznacza to, że nawet doświadczeni obserwatorzy mogą nie być w stanie ich odróżnić bez badań genetycznych.

Właśnie dlatego naukowcy podkreślają konieczność dalszego monitorowania populacji oraz prowadzenia badań nad skalą krzyżowania obu gatunków.

Daniel – piękny, ale problematyczny

Drugim gatunkiem budzącym obawy jest daniel zwyczajny. Choć obecnie spotkać go można niemal na całym świecie, jego naturalny zasięg obejmował jedynie część Azji Mniejszej i południowej Europy.

Daniel jest zwierzęciem niezwykle plastycznym ekologicznie. Potrafi przystosować się do różnych środowisk – od lasów liściastych po tereny silnie przekształcone przez człowieka. Ta zdolność adaptacji sprawiła, że gatunek odniósł ogromny sukces kolonizacyjny.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat liczebność europejskich populacji daniela wzrosła wielokrotnie. Obecnie szacuje się ją nawet na około milion osobników.

Jednak właśnie ta ekspansja budzi niepokój ekologów.

Konkurencja z rodzimymi gatunkami

W przeciwieństwie do jelenia sika, który zagraża przede wszystkim poprzez hybrydyzację, daniel może oddziaływać na rodzime gatunki poprzez konkurencję o pokarm i przestrzeń życiową.

Badania prowadzone we Włoszech wykazały, że wzrost liczebności daniela może prowadzić do gwałtownego spadku populacji saren. W jednym z analizowanych obszarów liczebność saren zmniejszyła się aż o 80% w ciągu dwóch lat.

Inne badania pokazały, że daniela często dominują podczas bezpośrednich kontaktów z sarnami. Zajmują najlepsze miejsca żerowania i zmuszają mniejsze zwierzęta do opuszczania atrakcyjnych siedlisk. W efekcie sarny unikają terenów o wysokim zagęszczeniu danieli, co może prowadzić do spadku ich liczebności.

Choć w Polsce nie stwierdzono jeszcze podobnych problemów na dużą skalę, liczebność daniela stale rośnie. O ile na początku XXI wieku pozyskiwano rocznie około dwóch tysięcy osobników, obecnie liczba ta przekracza dziesięć tysięcy. Świadczy to o dynamicznym wzroście populacji tego gatunku.

Czy można zatrzymać problem?

Całkowite usunięcie daniela czy jelenia sika z polskich lasów wydaje się dziś mało realne. W przypadku siki dodatkowym utrudnieniem jest obecność mieszańców z jeleniem szlachetnym. Ich identyfikacja i eliminacja byłyby niezwykle trudne zarówno pod względem technicznym, jak i społecznym.

Eksperti wskazują jednak, że możliwe jest ograniczanie ryzyka poprzez kontrolowanie liczebności populacji oraz systematyczne monitoro-

wanie ich wpływu na rodzime gatunki.

Szczególnie ważne wydaje się także niedopuszczanie do dalszego wprowadzania obcych gatunków do środowiska. Każda nowa introdukcja zwiększa bowiem ryzyko wystąpienia nieprzewidywalnych konsekwencji ekologicznych.

Wnioski

Historia jelenia sika i daniela pokazuje, że nawet pozornie atrakcyjne i cenione przez człowieka

gatunki mogą stanowić zagrożenie dla rodzimej przyrody. Obce jeleniowate wpływają na ekosystemy na różne sposoby – od zaburzania struktury genetycznej rodzimych populacji po konkurencję o zasoby.

W obliczu narastającego kryzysu bioróżnorodności ochrona rodzimych gatunków wymaga nie tylko troski o ich siedliska, ale również ostrożności wobec gatunków sprowadzanych spoza naturalnego zasięgu. To właśnie zapobieganie nowym

introdukcjom oraz stały monitoring istniejących populacji mogą okazać się kluczowe dla zachowania równowagi w polskich ekosystemach.

Marek Wajdzik
fot. Ryszard Adamus



Adam Benedykt Bisping
Ruja 2026
czyli o polowaniu w Kole Łowieckim
nr 43 Bażant Hrubieszów

Dla wielu myśliwych każde polowanie niesie ze sobą podobne emocje. Dla mnie jednak szczególnym przeżyciem są łowy na kozły w czasie rui. To właśnie wtedy można spotkać stare, doświadczone rogacze, które pozostają niemal niewidoczne zarówno podczas polowań majowych, jak i tych odbywających się we wrześniu.

W tym roku po raz kolejny wybrałem się na polowanie na początku rui saren do Koła Łowieckiego nr 43 „Bażant” w Hrubieszowie.

Hrubieszów, położony nad Huczwą – lewobrzeżnym dopływem Bugu – jest najbardziej na wschód wysuniętym miastem Polski. Miasto może poszczycić się wieloma cennymi zabytkami. Na szczególną uwagę zasługuje kościół pobernardyński, będący sanktuarium Matki Bożej Sokalskiej, malowniczo usytuowany na skarpie nad Huczwą. Drugim jest kościół pw. św. Mikołaja – najstarsza rzymskokatolicka świątynia parafialna w mieście. Charakterystycznym elementem panoramy Hrubieszowa jest również prawosławny Sobór Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny, którego trzynastie kopuł nadaje mu



wyjątkowy wygląd.

Jadąc na polowanie, jak co roku przejeżdżałem przez Tryńczę. Na miejscowym cmentarzu spoczywa mój dziadek, rotmistrz 8. Pułku Ułanów Tytus Dunin, który poległ 10 września 1939 roku w potyczce z wojskami niemieckimi.

Na polowanie pojechaliśmy z Jasiem we dwóch. Niestety, Andrzej z powodu przejściowych problemów zdrowotnych nie mógł nam w tym roku towarzyszyć. W łowisku, wskutek niesprzyjającej pogody, na polach wciąż pozostawało wiele niesko-

szonych upraw. Ruja dopiero zaczynała się rozkręcać, jednak wysokie zboża i kukurydza znacznie utrudniały podejście do zwierzyny i oddanie bezpiecznego strzału.

Polowaliśmy zarówno z podjazdu, jak i z podchodu. Pierwszego wieczoru obserwowaliśmy sporo saren, jednak skończyło się jedynie na rozpoznaniu kilku kozłów. Następnego ranka sytuacja wyglądała już zupełnie inaczej. Temperatura spadła do zaledwie 6°C, a aktywność zwierzyny wyraźnie wzrosła. Spotkań było naprawdę wiele.

Mojego pierwszego

kozła podchodziłem na leśnym zrębie. Nasz kolega Henryk z miejscowego koła od dłuższego czasu obserwował tam interesującego kozła i właśnie mnie przypadł pierwszy podchód. Las wydawał się ogromny, a zalegające na zrębie gałęzie sprawiały wrażenie, że ciche podejście będzie niemal niemożliwe. Po chwili dostrzegłem sarnę. Wiatr sprzyjał, więc mogłem spokojnie obserwować. Okazało się, że była to koza. Cierpliwie czekałem, aż pokaże się kozioł. Po chwili wyszedł dokładnie ten, którego opisywał Henryk – szydlarz. Strzał przerwał ciszę porannego świtu, niosąc się echem po lesie.

Całe polowanie okazało się bardzo udane. Każdemu z nas udało się pozyskać po trzy kozły. Wszystkie trofea zadedykowaliśmy Andrzejowi, życząc mu szybkiego powrotu do zdrowia i mając nadzieję, że za rok znów będzie z nami.

Na zakończenie pragnę serdecznie podziękować koledze Henrykowi za doskonale przygotowanie polowania oraz łowczemu Koła Łowieckiego nr 43 „Bażant”, koledze Mariuszowi, za gościnność i wspólnie spędzony czas w łowisku.
fol. archiwum autora

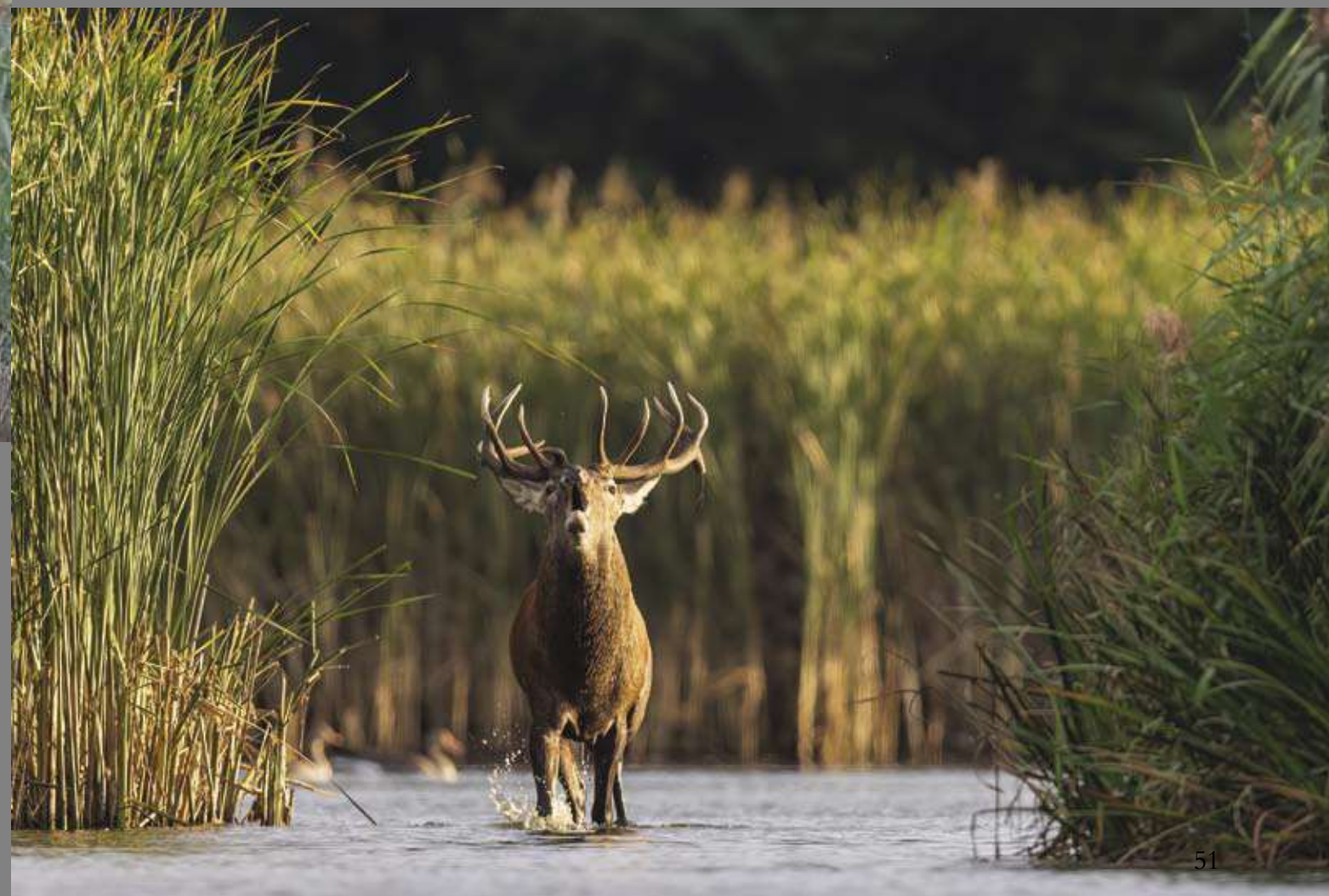


Adam Benedykt Bisping
Inż. zootechnik. Członek PZŁ od 1979 roku, od samego początku związany z KŁ Darz Bór w Krakowie. Łowczy w KŁ Darz Bór, członek kół: Sosnówka w Kalinie Wielkiej i Czajka w Krakowie. Delegat na Krakowski Zjazd Okręgowy, członek Komisji Oceny Prawidłowości Odstrzału.

KRZYSZTOF MARCZAK



JESIEŃ



BEKOWISKO

RYSZARD
ADAMUS



Polowania u naszych południowych sąsiadów

Łowy na drobną zwierzynę

Jakub Chrostek



fot. Ryszard Adamus

Wstęp

Tak, jak wspomniałem w poprzedniej części, w tym numerze postaram się przybliżyć łowy w niezwykle obfitych w zwierzynę drobną łowiskach w Republice Czeskiej. Odbývają się one z poszanowaniem tradycji i kultury łowieckiej, a towarzyszy im niezwykle bogata oprawa, w tym sygnały łowieckie.

Zajęce w kottlach

Jak opisałem w cz. I podczas jednego z polowań na muflony i danielę podprowadzającym mojego taty był kol. Tomas będący kierownikiem łowiska Bažantnica. Podczas rozmowy z Tomaszem okazało się, iż nie tylko zarządza Bažantnicą, ale jest także członkiem lokalnego koła łowieckiego, które może poszczycić się zycznym stanem zajęcy. Na pytanie o możliwość uczestnictwa w lo-

wach na szaraki otrzymałem odpowiedź, że jest to możliwe, ale w kolejnym sezonie. W ustalonym terminie skontaktowałem się z Tomaszem telefonicznie i otrzymałem potwierdzenie udziału w największym, jak to określił, honie roku, który miał się odbyć szóstego grudnia, w Mikołaja. Na polowanie wybraliśmy się w trójkę: ja z tatą i kolegą Michał, który pierwszy raz uczestniczył w polowaniu na zajęce. Byłem o tyle ciekaw tego polowania, gdyż miało się ono odbywać w sposób niedozwolony już w naszym kraju, a mianowicie w tzw. kottlach. W miarę zbliżającego się terminu śledziłem prognozy pogody, które nie były zbyt optymistyczne - zapowiadały dodatnią temperaturę i brak zmrożonego podłoża. Ale mimo to nie było żadnej informacji o odwołaniu polowania. Przyjechaliśmy na miejsce zbiórki pod kwaterę

lokalnego koła, która dzierżawi polny obwód o powierzchni jedynie 1200 ha. Zbiórka, odprawa i ruszamy na polowanie. Co warto podkreślić - przed rozpoczęciem polowania, podczas zbiórki, policja przeprowadza wyrywkową kontrolę trzeźwości wśród myśliwych. Prowadzący polowanie wyznacza poszczególne osoby do zamknięcia kotła (kola), po czym myśliwi się rozchodzą i w momencie rozpoczęcia pędzenia, po I sygnale schodzą się do środka. Wówczas każdy ma prawo strzału do środka kotła, jak i poza niego. Po II sygnale myśliwi zatrzymują się, a do środka kotła wchodzi naganiacze, czyli honce i psy. Wówczas myśliwy ma już prawo strzału tylko poza kocioł. III sygnał oznacza całkowite zakończenie pędzenia. Ku mojemu zaskoczeniu pierwszy kocioł nie był zbyt obfity, gdyż padły w nim jedynie 4 szara-

ki. W drugim kotle padło ich już ok. 20. Po drugim kotle kol. Michał i mój tata mieli już po jednym kocie na koncie, a ja, póki co, na pusto. W trzecim kotle było już naprawdę sporo zajęcy, ale mnie los dalej nie sprzyjał. Do przerwy strzelone było w granicach 40 szaraków. Po trzecim kotle nastąpiła przerwa śniadaniowa, po której ponownie ruszyliśmy w pola. To, co się wydarzyło w czwartym kotle, to było istne El-Dorado. Zajęcy było mnóstwo. Zewsząd i z każdej strony. W tym właśnie kotle św. Hubert dał mi kilka okazji na strzał. I tak 2 koty strzeliłem na spółkę z sąsiadami, ale zapisane zostały na sąsiadów, 3 strzeliłem czysto samodzielnie, a jednego spudłowałem. W miocie tym zobaczyłem przede wszystkim wysoką skuteczność takiego sposobu polowania, gdzie szaraki w środku kotła biegały z jednego końca w drugi, stale natrafiając na myśliwych. Do tego bardzo dużą efektywnością wykazały się psy (głównie wyżły niemieckie, weimarskie, węgierskie i oczywiście fouski), które to na bieżąco podnosiły postrzelone koty. Po tym miocie okazało się, że łącznie mamy strzelone ok. 75 zajęcy z czego kolega Michał miał już 5, a ja z tatą po 3. Zapadła decyzja, iż bierzemy ostatni, piąty kocioł, w którym są remizki śródpolne i możliwość natrafienia na bažanty. W ostatnim miocie padły 3 koguty bažanta oraz kilka zajęcy, z czego kolega Michał strzelił szóstego kota.

Co ciekawe po zakończeniu ostatniego miotu wracaliśmy piechotą, główną drogą przez środek miejscowości, do kwatery, gdzie rano była zbiórka. I tak grupa 30 myśliwych z bronią nie wzbudziła wśród lokalnej społeczności żadnych złych skojarzeń ani negatywnych emocji. Ba, ani jeden z mijających nas samochodów nie zatrzymał na nas. Z pewnym rozżaleniem przyglądałem się temu, próbując wyobrazić sobie, jak taka sytuacja skończyłaby się w Polsce.

I tak łącznie po pięciu kottlach (miotach) na pokocie znalazły się 82 zajęce i 3 koguty bažanty, upolowane przez grupę 30 myśliwych. Myślę, że gdyby aura była typowo zimowa, ze zmrożonym gruntem, spokojnie zostałby osiągnięty wynik 100 lub więcej zajęcy na pokocie. Po polowaniu pokot, zakończenie polowania i biesiada w dworcu będącym kwaterą tegoż koła. Podczas biesiady miało miejsce ogłoszenie króla polowania, którym został kol. Michał z wynikiem 6 szaraków. Uczestnicząc w biesiadzie zastanawiałem się w duchu, dlaczego nasze koła łowieckie nie żyją tak społecznie jak nasi Czescy koledzy...

Królewskie łowy na bažanty

Na początku obecnego roku kalendarzowego zadzwonił do mnie kolega Tomas, u którego



fot. Ryszard Adamus

gościłem miesiąc wcześniej na polowaniu na zające. Oprócz życzeń noworocznych dostałem od niego zaproszenie na polowanie na bażanty w łowisku, którym kieruje. Tomas przekazał mi informację, iż planowany jest przyjazd grupy 6 Brytyjczyków, lecz grupa ta chce strzelić mniejszą liczbę ptaków niż planowanych jest do odstrzału i czy w związku z powyższym nie chcielibyśmy uczestniczyć w tych łowach? Pytam Tomasa: mniejsza liczba ptaków to znaczy ile? Na co uzyskuję odpowiedź: ok. 300. I jeśli chcielibyśmy dołączyć, wówczas planowany pokot mógłby wynieść ok. 500. Nie namyślając się długo odpowiedziałem, że przyjedziemy w tym samym składzie, w którym byliśmy na zajęcach - mój tata, kol. Michał i ja, co bardzo ucieszyło Tomasa.

I tak w sobotę, pod koniec stycznia, spotkaliśmy się w kwaterze - dworku znajdującym się w samym środku łowiska Bażantnica. Łowisko to dysponuje arealem ok. 800 ha. Dominują w nim remizy oraz wąwozy poprzecinane łąkami i polami. Na wstępie przed dworkiem całą polującą grupę (3 Polaków i 6 Brytyjczyków) wita zespół sygnalistów myśliwskich, którzy grają i śpiewają przywitanie myśliwych oraz zapraszają na śniadanie. Po wspólnym lekkim śniadaniu sygnaliści grają zaproszenie na zbiórke. Stawiamy się w miejscu planowanego pokotu. Po przywitaniu

łowiska i myśliwych sygnaliści odgrywają sygnał wyruszenia na łowy (podobnie jak nasz Apel na łowy). Na zbiórce dowiadujemy się, że w dzisiejszym polowaniu uczestniczyć będzie 9 myśliwych, 40 naganiaczy i pomocników oraz ok. 20 psów (głównie wyżłów). Po odprawie ruszamy na łowy. Obstawiamy pierwszy miot, w wąwozie, między dwiema sporymi remizami. Imponujące jest przygotowanie i rozmach takich łowów, gdzie każdy z polujących myśliwych staje na dobrze oznaczonym stanowisku, z własnym ładowaczem, który oprócz ładowania na bieżąco broni liczy strzelone przez myśliwego bażanty. Akurat tak się złożyło, iż moim ładowaczem był bezpośredni przełożony Tomasa, nadzorujący oba zarządzane przez nich łowiska. On też był na tym polowaniu głównym prowadzącym. Na moje pytanie czy jest to polowanie na typowo puszczone bażanty otrzymuję odpowiedź, że absolutnie nie. Bażanty co roku są wpuszczane do tego łowiska w liczbie 10 000-15 000, na ok. 3-4 miesiące przed rozpoczęciem sezonu polowań. Tak więc polowanie to odbywa się na w pełni zdiczone ptaki. Wraz z rozpoczęciem I pędzenia przeżyłem szok obserwując imponującą ilość podrywających się bażantów, których końca nie było widać. I tak w pierwszym pędzeniu dane było mi strzelić 34 ptaki (koguty i kury, w tym

4 dublety i jeden tryplet), koledze Michałowi 20, a brytyjski kolega, będący moim sąsiadem, strzelił 58. Tata, stojąc z boku pędzenia, strzelił jedyne 10, gdyż ze względu na nasze celne strzały nie dolatywała do niego większa ilość bażantów. Po każdym pędzeniu 30-40 minut polująca grupa spędza przy herbacie i wspólnych rozmowach. W tym czasie naganiacze zbierają strzelone bażanty, zgodnie z odnotowaną przez ładowaczy liczbą strzelonych bażantów, a druga część obsługi polowania sprząta stanowiska z łusek. W II miocie pędzone były remizki znajdujące się na zboczach jednego z pagórków. Powtórnie znakomicie oznaczone stanowiska, lecz w środku zakrzaczeń i jeżynisk. Zastanawiałem się, jak tu strzelać, ale byłem dobrej myśli. Zaczyna się drugie pędzenie, naganka rusza i podrywają się potężne ilości ptaków. W tym pędzeniu udało mi się strzelić 25 bażantów. Oprócz bażantów w miocie tym pozyskano 2 góropatwy skalne (popularny w Europie gatunek kuraka, kuropatwy, niespotykany w naszym kraju). Po tym pędzeniu cała polująca grupa udała się do kwatery na lunch, podczas którego serwowana była kiełbasa z dziczyzny na gorąco z tradycyjnym czeskim złotym trunkiem. W trakcie posiłku zapytałem mojego ładowacza, ile mamy już strzelonych bażantów. Oka-

zało się, że po dwóch miotach jest już 400 ptaków. Po posiłku dalsza część polowania. W III miocie przypadło mi stanowisko obok młodnika świerkowego, na którym strzeliłem 16 bażantów. W IV miocie pędzenie odbywało się na terenie dawnej piaskowni, gdzie na przedpolu obserwowaliśmy bardzo spore ilości ptaków. W tym pędzeniu moim sąsiadem był mój tata, któremu skutecznie uniemożliwiałem dolatywanie większej ilości ptaków, w większości strzelając mu bażanty przed nosem. I tak to pędzenie skończyłem z ilością 15 bażantów na moim koncie. Ostatnie, V pędzenie, odbywało się w liściastym lesie, w którym o dziwo była bardzo mała ilość ptaków. Mnie dane było strzelić tylko 3 bażanty z pięciu, które mi nadleciały. Po ostatnim, V miocie, powrót na kwaterę i czekamy na ułożenie pokotu. W sumie na pokocie znalazło się 715 ptaków, w tym 2 wspomniane wcześniej góropatwy skalne. Na pokocie, jak zawsze u naszych południowych sąsiadów, celebrowała tradycję, sygnałów i oddanie czci upolowanej zwierzynie, a na koniec ceremonii pokotu oddanie przez polującą grupę paradnej salwy na cześć św. Huberta. Po pokocie zaproszenie na biesiadę w kwaterze. Tuż przed biesiadą obsługa poprosiła nas o przekazanie im broni. Gdy zaskoczony zapytałem dlaczego



go? otrzymałem odpowiedź, iż teraz będzie czyszczenie naszych jednostek. Przyznam, że przeżyłem kolejny szok. No ale nie będę przecież protestować! Wieczernę rozpoczęliśmy toastem za udany dzień łowów. Na talerzach zaserwowany został w pierwszej kolejności rosół z bażanta, a następnie pieczony bażant z ryżem w sosie pieczeniowym. Trzeba przyznać, iż jakość potraw dorównywała daniom w dobrym hotelu na wczasach all-inclusive. Poziom organizacyjny polowania w tym dniu także był bez zarzutu. Po kolacji, przy świecach i z akompaniamentem zespołu sygnalistów, miała miejsce uroczystość ogłoszenia króla polowania, który zasiadł na specjalnym tronie króla polowania. Został nim brytyjski kolega, który w I miocie był moim sąsiadem. Zakończył on te łowy z wynikiem 112 strzelonych bażantów. Dla mnie zaś ten dzień zakończył się

upolowaniem 93 bażantów i III wynikiem na polowaniu; kolega Michał i mój tata strzelili po ok. 40 bażantów każdy.

Z pełną odpowiedzialnością mogę powiedzieć, iż przeżyłem swoje najlepsze, życiowe polowanie na bażanty i na pewno nie ostatnie... Każdemu z koleżanek i kolegów po strzelbie życzę takich łowów na zwierzynę drobną.

Darzbór i Lovu Zdar

fot. Ryszard Adamus i archiwum autora



Jakub Chrostek
Doktorant w Katedrze Użytkowania Lasu i Techniki Leśnej, na Wydziale Leśnym Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie. Zapalony myśliwy w 4. pokoleniu swojej rodziny.





Angielskie polowanie

Andrzej Patoła

Kiedy padła propozycja wyjazdu na polowanie do Anglii ciekaw byłem na co tam można zapolować. Wiedziałem o bardzo dobrych polowaniach na bażanty, ale mam je we własnym łowisku. Tymczasem okazało się, że plan przewidywał polowanie na mundzaka i jelonkowca błotnego. Obydwa gatunki zostały lata temu introdukowane z Chin, zaaklimatyzowały się dobrze i występują w dużych ilościach w Norfolk. Zebrała się fajna grupa myśliwych znana mi wcześniej z innych wypraw: Ada, Tomek, Adam, Krzysiu i Rafał. Organizatorem był oczywiście Bogdan, chętnie więc dołączyłem do zespołu.

Wylecieliśmy z Warszawy 18 lutego 2026 r. Po spokojnej krótkiej podróży wylądowaliśmy na lotnisku Luton, powyżej Londynu. Przylecieliśmy bez swojej broni, więc odprawa była szybka i po chwili mogliśmy się przywitać się z Jacobem, Duńczykiem, posiadającym swoje łowisko w Anglii. Trzygodzinna podróż samochodem zawiadła nas do miejscowości Hunstanton, która będzie stanowiła naszą bazę wypadową. Ta baza to mały hotel o wzniosłej nazwie King William. Warunki pobytowe dobre, a do menu w restauracji trzeba się przyzwyczaić, bo to przecież Anglia.

Po zakwaterowaniu otrzymaliśmy broń i pojechaliśmy ją przystrzelać. Sztucery Sako, w dobrze mi znanym kalibrze 243 win, z amerykańską optyką Buris, są celne. Wybieram sztucer i po kilku strzałach i jednej korekcie jestem gotowy do polowania.

Pierwszy popołudniowy wyjazd nie przyniósł rezultatów myśliwskich, ale poznawałem tereny i charakterystykę okolic. Norfolk leży blisko morza, więc odczuwalny jest jego wpływ. Ciągły zimny, wilgotny wiatr powoduje uczucie przenikliwego chłodu. Poszczególne pola, o bardzo nierównych kształtach, są chronione wysokimi i szczelnymi żywopłotami. W ten sposób uprawy zabezpieczane są przed zimnym wiatrem, wysuszaniem gleby i erozją wietrzną. Pola nie są doorywane do samych żywopłotów, więc z jednej i drugiej strony pozostaje nienaruszony pas około dwóch metrów. Jest to podstawowe miejsce do schronienia i odżywiania zwierzyny. Podczas całego pobytu spotkałem tylko jedną małą remizę oraz kilkanaście dużych owalnych, zarośniętych drzewami wgłębień, które, jak się później dowiedziałem, są pozostałością po niemieckich bombardowaniach podczas drugiej wojny światowej. Widziałem też kilka pól pozo-

stawionych odłogiem. Z wyjaśnień Jacoba wynikało, że właściciele mają obowiązek zostawiania minimum 10 procent ziemi odłogiem właśnie dla zwierzyny. I tam umiejscowionych było dużo automatycznych paśników dla bażantów. Wracając o zmierzchu słyszałem bardzo duże ilości bażantów zapadających na drzewach. Patrząc przez lornetkę termowizyjną widziałem dziesiątki królików i zajęcy żerujących na polach i w żywopłotach. Jacob powiedział nam, że w sezonie przeprowadzają dwa polowania zbiorowe na bażanty, bez rozróżniania kogut czy kura, i dwa łączone na króliki i zajęce. To, co widzieliśmy, to był stan po polowaniach, więc przed musiał być imponujący. Warunki życia mają bardzo dobre. Byliśmy tam w lutym i temperatura wynosiła około 10 stopni C, a trawa na pasach koło żywopłotów była zielona.

I tak minął nam pierwszy dzień. Wróciliśmy do hotelu na kolację i nocleg. Następnego dnia wcześniej rano podzieliliśmy się na grupy i z przewodnikami udaliśmy się do łowiska. Polowanie polegało na przejeździe samochodem polnymi drogami wzdłuż żywopłotów wypatrując zwierzyny. Zwierzyna, pomimo wczesnej pory, była już w ruchu i można ją było obserwo-

wać z dużej odległości. Kilkakrotne próby podejścia wzdłuż żywopłotów nie powiodły się. Zwierzyna nie dotrzymywała i z odległości około trzystu metrów uchodziła.

Popołudniowe wyjście zaczęliśmy podobnie, lecz w pewnej chwili w odległości około trzystu metrów w środku pola porośniętego zieloną uprawą zobaczyliśmy dwa śpiące jelonkowce błotne (chinese water deer) nazywane tutaj skrótowo chines. Jednym z nich był wart strzału samiec z okazałymi kłami. Na to polowanie zabrałem swój pastorał, z którego jestem przyzwyczajony strzelać na dłuższe dystanse. Postanowiliśmy spróbować podejść na wprost do momentu, dopóki się nie obudzi, a gdy to nastąpi i zwierz wstanie może uda mi się wykorzystać moment na oddanie strzału. I tak też się stało. Po przejściu około pięćdziesięciu metrów zaobserwowaliśmy ruch, zamarliśmy w bezruchu, po chwili roztawiłem pastorał i pomału ze sztucerem na nim przesuwaliśmy się, krok po kroku, z przystankami, do przodu. W ten sposób udało się nam zmniejszyć dystans jeszcze o około trzydzieści metrów. W pewnym momencie chines wstał ciekawie przyglądając się, kto to zakłóca mu popołudniowy odpoczynek.





Nie zwlekając ustawiłem pastorał i strzeliłem na wysoką komorę. Znam kaliber 243 win – lot kuli jest szybki i płaskotorowy, więc wystarczy mała poprawka. Chines został w miejscu, ale przestrzał przez tuszę spowodował uszkodzenie skóry przy wyjściu kuli. Podczas preparacji Bogdan będzie musiał cerować. Bardzo się ucieszyłem z pierwszego trofeum w Anglii, tym bardziej z tak nietypowego. Wyróżnikiem samca u chinesa są długie kły wystające ze szczęki. Co ciekawe, kły są nietypowo zakotwiczone i odchylają się pozwalając mu żerować.

Po powrocie do hotelu dowiedziałem się, że koledzy też celnie postrzelali, więc uczciliśmy to przy wspólnej kolacji. Po dobrze przespanej nocy wcześniej rano angielskie śniadanie. Jest ono dla nas dosyć nietypowe. Raz można spróbować, choć niekoniecznie bez konsekwencji. Kielbaski z indyka suche, bez smaku, dwa sadzone jajka, bekon, fasolka w sosie pomidorowym, czarna kiszka i pieczarki. Do tego tosty smarowane masłem i pomidorami, popijane sokiem pomarańczowym. Po takim śniadaniu było mi dosyć ciężko. Spytałem więc czy jest możliwość by spokojnie usiąść na zwyczajne i z niej popolować. Jacob chętnie na to przystał, bo miał mało podprowadzających. Pojechaliśmy więc w okolice starego opuszczonego zamku, gdzie w rozległym parku z pięknym starodrzewem

stała, dla kontrastu, nowoczesna okrągła metalowa wanna. Metalowy obrotowy stołek na podestach pozwalał na strzał w dowolnym kierunku. Jak to zwykle bywa pierwsza przychodzi zwierzyna, do której już nie będę strzelał – łania oraz dwa byczki chinesa. Później przemknął lis. Po długiej chwili w oddali w zaroślach pokazało się coś małego, nie do końca rozpoznawalnego nawet przez dobrą lornetkę. Obserwowałem cały teren często wracając w to miejsce i po pewnej chwili spod jakiegoś starego ozdobnego krzewu, który już był dużym drzewem, wyszło zwierzątko z dużymi moździeniami a małym porożem. Tak właśnie wygląda samiec munjaka. Miałem czas. Byłem dla niego niewidoczny, więc miałem możliwość obserwacji. Gdy wszedł w pas drzew okalających starą drogę ustawiłem sztucer na okrągłej balustradzie. Po drugiej stronie drogi była niewysoka uschnięta trawa i gdy pokazał czystą komorę strzeliłem. Zniknął po strzale i nie widziałem żadnego ruchu okolicznej trawy. Tak więc sprawnie zrealizowałem plan polowania. Po chwili podjechał właściciel terenu i pogratulował mi celnego strzału. Zawiózł mnie do swojego gospodarstwa, gdzie spotkałem Bogdana skórującego strzelone sztuki. Obserwowałem, jak to robi i zauważyłem, że bardzo się mozoli nad obieraniem chinesa. Okazuje się, że jego skóra na karku i głowie jest bardzo przyrośnięta do mięśni i kości, trzeba więc to robić spokojnie i precyzyjnie, by nie uszkodzić skóry.

Gdy wracaliśmy do hotelu, przy drodze, na obszarze kilku hektarów, zobaczyliśmy ustawione małe folie jakich u nas używa się do uprawy warzyw. Wokół nich biegały setki świnek. Po dokładnej obserwacji zobaczyliśmy też koryta. Tak w Anglii jest produkowany słynny bekon.

Po powrocie do hotelu okazało się, że prawie wszyscy zrealizowali swoje plany. Trzech kolegów jedzie pozyskać jeszcze, do kompletu, łania. Natomiast my prosimy Jacoba, by podwiózł nas nad wybrzeże, to zrobimy sobie spacer. Przeszliśmy parę kilometrów plażą wzdłuż wysokich pięknych klifów, na których swoje schronienia mają duże ilości ptaków. Po drodze spotkaliśmy skorodowane resztki barki desantowej z drugiej wojny światowej. Doszliśmy do małej nadmorskiej miejscowości i w stylowej tawernie, odpoczywając, zjedliśmy kolację. Jacob przyjechał po nas wieczorem zapowiadając, że na jutro przygotował niespodziankę.

Na drugi dzień, po śniadaniu, dostaliśmy śrutówki i każdy po paczce amunicji. Podjecha-

liśmy w zarośnięty teren dawnego siedliska ze starymi drzewami, który ciągnął się około pięciuset metrów. I tu Jacob wytłumaczył, na co będziemy polować. Okazuje się, że mają duże problemy z populacją wiewiórki szarej sprowadzonej tu z USA. Wiewiórka niszczy gniazda ptaków, między innymi bażantów, i jest zaliczana do IGO. Mamy wolny dzień, więc chętnie pomożemy ich trochę zredukować, a dla nas będzie to nowe doświadczenie.

Ustawiliśmy się w poprzek zarośli i idąc obserwowaliśmy drzewa, a przede wszystkim ich korony. Wiewiórki kryją się w rozwidleniach po drugiej stronie obserwowanego pnia lub w gniazdach. Gdy już zlokalizowaliśmy wiewiórkę na drzewie trzy osoby ustawiały się dookoła pnia i trzeba było dobrze wyteżać wzrok, by ją dostrzec wśród splątanych gałęzi. Jeśli nie zdążyliśmy jej wypatrzyć nagle startowała z jakiegoś zakamarka pokonując błyskawicznie przestrzeń do drugiego drzewa. Pudeł było co niemiara, ale i tak do popołudnia mieliśmy na rozkładzie piętnaście sztuk. Jacob tylko się śmiał i mówił, że on z kolegą w tym samym czasie strzelają drugie tyle. No ale cóż – oni na pewno mają większe doświadczenie w tych łowach.

Po tym „wiewiórkowym” polowaniu wróciliśmy do hotelu na posiłek, odpoczynek i pakowanie. Jurto rano wyjeżdżamy na lotnisko. Po drodze odwiedzamy jeszcze muzeum lotnictwa pod Londynem, w dawnej bazie Hendon. Oglądamy samoloty podzielone na rodzaje i lata produkcji. Są samoloty pasażerskie, bojowe ratownicze od pierwszych, z konstrukcją drewnianą, pokrytych płótnem, po superfortecę b52, której wielkość uczy pokory. Oglądaliśmy też samoloty Hawker Hurricane naszego dywizjonu 303 walczącego podczas bitwy o Anglię w Drugiej Wojnie Światowej.

I tak oto zakończyliśmy krótkie, nietypowe, ale atrakcyjne polowanie na angielskiej ziemi.

fot. archiwum autora



Andrzej Patoła

Myśliwy od 1973 roku, prezes Koła Łowieckiego Hubert w Proszowicach. Myśliwski globtroter, kolekcjoner oraz autor opowieści o tematyce łowieckiej.



PATRYK SIKORA
JESIEŃ
NA MAGURZE





Spis treści:

Sezon ogórkowy w łowiectwie?	
Marek Wajdzik	3
Dziki Kraków czyli o życiu zwierząt w miejskiej dżungli	
Marek Wajdzik	4
Mandarynka	
Ryszard Adamus	10
Indyki z Kanady - eksperyment zapisany w pamiętniku	
Michał Kielb	14
Wieści z Kanady... Przystanek dla indyka	
Michał Kiełb	18
Wycena medalowa trofeów jeleni byków pozyskanych w sezonie 2025/2026	
Mateusz Dudzik	24
Nie tylko medalowe	
Marek P. Krzemień, redakcja	27
Międzynarodowy Zakon św. Huberta	
Witold Daniłowicz	28
Antonińskie parforsy z jubileuszową fanfara	
Krzysztof M. Kadlec	32
Od warsztatów po konkursy krakowski rok kynologii łowieckiej	
Ewa Dobrzyńska-Lankosz	38
Obce gatunki jeleniowatych w Polsce - ciche zagrożenie dla rodzimej przyrody	
Marek Wajdzik	44
Ruja 2026, czyli o polowaniu w Kole Łowieckim nr 43	
Bażant Hrubieszów	
Adam Benedykt Bisping	48
Jesień	
Krzysztof Marczak	50
Bekowisko	
Ryszard Adamus	52
Polowanie u naszych południowych sąsiadów	
Łowy na drobną zwierzynę	
Jakub Chrostek	54
Angielskie polowanie	
Andrzej Patoła	60
Jesień na Małgurze	
Patryk Sikora	64



WYDAWCA

Zarząd Okręgowy
Polskiego Związku Łowieckiego
w Krakowie
ul. Żywiecka 12
30 - 427 Kraków
tel 12 634 25 34
e-mail: zo.krakow@pzlow.pl

REDAKTOR NACZELNY

Marek Wajdzik

REDAKCJA

Ewa Dobrzyńska-Lankosz
Adam Bisping
Roman Barbasz
Henryk Okarma
Andrzej Patoła
Wojciech Plewiński
Waldemar Smolski
Andrzej Tomek
Redaktor Graficzny
Hubert Zwinczak

stale współpracują:
Ryszard Adamus
Krzysztof Marczak
Patryk Sikora

SKŁAD I ŁAMANIE

Hubert Zwinczak

DRUK

Drukarnia Skleniarz

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść publikowanych materiałów i reklam, zastrzega sobie prawo nieodpłatnego publikowania nadesłanych artykułów oraz zdjęć, wraz z prawem do skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.

Zdjęcia na okładce:
Ryszard Adamus str. 1, 2
Krzysztof Marczak str. 4

pasje



